Nr. 211 Lwów — Piątek dnia 15 Września. Rok 18

Wychodzi w dni powszednie, o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 1 złr. 10 ct. w Niemczech . . . . 1 „ 50 „ w innych Państwach 2 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 20 „ Opłatę należy nieść równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Prenumerata we Lwowie miesięcznie 1 zł. Numer kosztuje we Lwowie . . 4 ct. na prowincyi . . . . 5 ct.

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, spisy nauk i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 50 ct. od wiersza.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct. W drobnych ogłoszeniach tłustym petitem za każdo słowo 2 ct. tłustym garmondem „ „ 3 ct. koresp. prywatne „ „ 4 ct. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 30 ct. Reklamy po kronice wiersz petit. 50 ct. Ogłoszenia nad przeglądem politycznym na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 80 ct.

Dziś: św. Nikodema | Anfryma M. — Jutro: św. Ludmiły P. | Wawyły M.
Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*
Wschód słońca o g. 5 m. 44 Zachód „ „ 6 m. 6
Długość dnia godzin 12 m. 21 Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 14 września.

W Wielkopolsce rozpowszechnia biurokracya nowy sposób dokuczania ludności, mianowicie, bez upoważnienia sądowego wykonywa rewizye domowe, dotąd wyłącznie u chłopów, przyczem konfiskuje książki polskie. Jest to odpowiedź administracyi rządowej na działalność różnych stowarzyszeń, które obdarzają dziatwę polską książkami, aby jej ułatwić poznanie usuniętego ze szkół ojczystego języka. Biurokracya widocznie uważa, że w postępowaniu z chłopami wolno jej zastępować przepisy konstytucyjne samowolą, ponieważ ubogiemu wieśniakowi trudno swych praw dochodzić. Jednakże takie bezprawne dokonywanie rewizyj domowych grozi obywatelstwu poważnem niebezpieczeństwem, więc też dlatego społeczeństwo wielkopolskie bardzo słusznie zamierza usilnie walczyć z tym nowym biurokratycznym zwyczajem. W ogóle samowola hakatystycznych urzędników objawia się w ostatnich czasach tak jaskrawo i butnie, że podobno z tego powodu baron Willamowitz, który od r. 1891 dość rycersko sprawuje urząd naczelnego prezesa prowincyi poznańskiej, podał się do dymisyi, lecz ona zapewne nie będzie przyjęta. Buntownicze postępowanie biurokratów potępiają nawet liberalne niemieckie dzienniki, tłumacząc je gniewem urzędników na rząd i chęcią zrobienia mu kłopotu przez to, że w społeczeństwie wytworzy się dużo niezadowolenia. Gniew zaś ten stąd pochodzi, że po znanych dymisyach, danych polityjkującym urzędnikom, rozkazano wszystkim biurokratom, aby wystąpili ze stowarzyszeń niemieckich, mających związek z Bundem agrarnym. To rozporządzenie jest ciosem dla „pobocznego rządu“, ponieważ czerpał on swą siłę głównie w tem, że przez swych członków-urzędników wywierał wpływ na ludność, a jednocześnie, także przez nich, dowiadywał się o wszystkich zamiarach rządu królewskiego. Urzędnicy za takie wysługiwanie się junkrom byli przez nich popierani i nieraz bardzo prędko robili karyerę. Dlatego właśnie rozgoryczył ich rozkaz ministeryalny wystąpienia ze związku agrarnego. Tak tę sprawę przedstawiają dzienniki, jeżeli zaś naprawdę tak jest, to widocznie biurokracya pruska ogromnie się zdemoralizowała przez to, że zgodnie z myślą Bismarka pozwolono jej brać udział w politycznych robotach agraryuszy, pangermanów i hakatystów. Być może, że w dziennikarskiem przedstawieniu tej rzeczy jest dużo przesady, w każdym jednak razie nie jest to zupełnem zmyśleniem, bo junkierska prasa zajęła względem rządu wprost rewolucyjne stanowisko. Te pisma — zdaniem katolickiej *Germanii* — „przemawiają tonem, mogącem przynieść zaszczyt najjaskrawszemu świstkowi socyalistów“. Rzeczywiście, naprzykład *Agrarkorrespondenz* wzywa junkrów, aby „w parlamencie, w prasie i towarzyskich stosunkach bojkotowali ministrów, spełniających wolę cesarza wbrew woli większości sejmowej, a ten bojkot ma trwać, dopóki cesarz nie przekona się, że prawdziwi mężowie stanu znajdują się tylko w obozie agrarnym“. Inny organ junkrów, *Deutsche Tagesztg.* pisze: „Ministeryum księcia Hohenlohego wdało się w grę niebezpieczną. Związek agrarny czeka tylko dokładnych wiadomości o udziale księcia i pana Miquela w karach, które spadły na landratów i innych urzędników, poczem rozprawi się z nimi surowo. Jeżeli oni przyczynili się do spensyonowania naszych przyjaciół między urzędnikami, to po jakimś czasie będą mogli powiedzieć o sobie: Nosił wilk, ponieśli i wilka“.

Takie oświadczenia prasy junkierskiej odsłaniają prawdziwą wartość monarchicznych uczuć patentowanych patryotów pruskich i podpór tronu. Coś się widocznie bardzo popsuło w pruskiej administracyjnej machinie. Na nieszczęście, odczuwają to przedewszystkiem Wielkopolanie.

Sprawa serwitutów włościańskich na gruntach właścicieli obszarów dworskich weszła w Królestwie Polskiem w okres ostatnich przygotowań do jej załatwienia. Niedawno zamianowany cywilny pomocnik jeneralnego gubernatora p. Podgorodników opracował już sposób załatwienia tej nieprzyjemnej sprawy, poczem cały operat odesłano do Petersburga, gdzie ministerya spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i finansów złożyły wspólną komisyę dla zbadania rzeczy. Ta komisya w zasadzie już postanowiła, że serwituty powinny być zniesione, tylko jeszcze nie określono, jakie wynagrodzenie mają w zamian otrzymać włościanie, czy tem wynagrodzeniem mogą oni się podzielić, czy też powinno ono pozostać wspólną własnością gminy, i wreszcie czy można dopuścić, aby włościanie układali się z właścicielami obszarów dworskich, czy też raczej sam rząd powinien oszacować wartość każdego serwitutu. Dla braku szczegółowych danych komisya petersburska nie mogła rozstrzygnąć tych zagadnień, przerwano tedy obrady i polecono tak zwanym „komisarzom włościańskim“ przedstawić dokładne wykazy wszystkich serwitutów, osobno leśnych, a osobno pastwiskowych i wodnych, ich wartość pieniężną i czas powstania. Kiedy wykazy będą gotowe, wówczas urzędy gubernialne sporządzą wykazy ogólne dla całych powiatów i dołączą swe wnioski co do sposobu załatwienia sprawy. To wszystko ma być zrobione w ciągu miesiąca, jednakże któż zaręczy, że się nie zaciągnie na lata.

Od pewnego czasu zaczęły drożeć wszystkie metale, używane w przemyśle w dużych ilościach, najbardziej zaś żelazo i miedź. Jest to proste następstwo ogromnego rozwoju kolei żelaznych i flot, budowanych z żelaza. Nadto zaczęto ich używać przy budowie domów zamiast wszelkich belek i nadzwyczajnie się rozpowszechniło używanie żelaznych narzędzi rolniczych. Okazało się, że kopalnie mniej dostarczają rudy, niż potrzeba gotowego surowca. W Ameryce cena surowca podskoczyła z 25 ciu na 29 dolarów za tonnę. Na tegorocznym jarmarku w Niżniem Nowogrodzie ustanowiono cenę wyrobów żelaznych o 10 do 15% większą od zwykłej. Olbrzymie warsztaty okrętowe Craffton w Nowym Jorku zawiesiły robotę z powodu braku żelaza i stali i udały się do rządów rosyjskiego i japońskiego z prośbą o znaczną prolongatę terminu dostawy pancerników, wykonywanych przez te warsztaty dla owych rządów. Słowem, świat przemysłowy stanął przed groźną dla niego kwestyą braku żelaza.

Ma ta kwestya i socyalne znaczenie. Z powodu coraz trudniejszych stosunków między fabrykantami a robotnikami, coraz częstszych bastówek, zaczęto budować maszyny pomocnicze, aby jak najmniej zatrudniać robotników i pod tym względem doprowadzono technikę do wielkiej doskonałości. Dzięki machinom żelaznym, poruszanym parą lub elektrycznością, można było naprzykład stale zatrudniać przy budowie gmachów wystawy paryskiej tylko cztery tysiące ludzi. Teraz ci robotnicy zapowiedzieli bastówkę na październik, żądając powiększenia płacy o 30%. Ponieważ już biorą najmniej pięć a najwięcej 15 franków dziennie, przeto zarząd wystawy odrzucił ich żądanie i postanowił powiększyć liczbę machin. Okazało się jednak, że na tak krótki termin nigdzie nie można ich dostać i nawet fabryki nie przyjmują zamówień z powodu braku żelaza. Tak ów brak wpływa na kwestyę robotniczą.

Zaproszenie na konferencyę.

Piszą nam z Wiednia, 13 września:

Nareszcie akcya pacyfikacyjna postąpiła o znaczny krok naprzód. Mniejsza o to, czy zaproszenie na konferencyę rozesłał dr. Kathrein, czy prezydent Fuchs, w każdym razie tak, a nie inaczej wyobrażaliśmy sobie akcyę ugodową. Zadziwia tylko, że od lutego upłynęło tyle drogiego czasu i nikt nie pomyślał o podobnym kroku, aż inicyatywa Monarchy wprawiła w ruch „martwą bryłę świata“... austryackiego! Przywrócenie prawidłowej czynności parlamentarnej leży przedewszystkiem w interesie samego parlamentu. Starać się więc o to powinny stronnictwa parlamentarne, nie składając wszystkiego na rząd, nie domagając się od niego rzeczy, które przekraczają jego siły i kompetencyę. Najdoskonalszy rząd nie zdoła zabezpieczyć normalnej czynności parlamentu, jeżeli on sam nie pomyśli o tem. To też teraźniejsza akcya samodzielna, chociaż podjęta w zgodzie z gabinetem, który z pewnością nie pragnie ustalenia się rządów po zaparlamentarnych za pomocą § 14 go, jest najwłaściwszą drogą. Czy doprowadzi do celu? Któż dziś zdoła przewidzieć! Można przypuścić, że w komitecie wykonawczym lewicy wpływowe głosy odezwą się za obesłaniem konferencyi, zaproponowanej przez dr. Fuchsa. Zabiegi bar. Chlumetzky'ego niezawodnie odniosły zamierzony skutek, przynajmniej w kołach wielkich właścicieli liberalnych. Tymczasem już dziś *N. Fr. Presse* przemawia o konferencyi w sposób, jak gdyby lewica nie myślała jej obesłać. Gdyby się to istotnie stało, będzie trzeba akcyę ugodową rozpocząć na nowo, cierpliwie i wytrwale, aż dopisze. Natomiast wszelki zamach stanu, wszelki nagły przewrót, nie usunąłby teraźniejszych trudności, lecz zwiększyłby je ogromnie. Ostrzegamy, jak ostrzegaliśmy uczciwie przed rozporządzeniami językowemi i przed „naprawieniem“ regulaminu według doraźnej metody ś. p. hr. Falkenhayna!

W powtórzonym dziś w tutejszych dziennikach interviewie, prezes Jaworski imieniem Koła wypowiada „gorące życzenie przywrócenia normalnych stosunków parlamentarnych, któreby umożebniły racyonalną i pozytywną pracę.“ A zatem prezes Jaworski i Koło polskie na tę kwestyę zapatrują się tak samo, jak my, i nie uważają stanu bezparlamentarnego jako idealnego. To samo przekonanie zresztą od 2 lat Koło polskie wypowiedziało w całym szeregu rezolucyi. W Austryi długi post parlamentarny nie przyczynia się ani nawet do pewnego pozornego uspokojenia. W ciągu ostatniego lata wydarzały się najskrajniejsze wypadki roznamiętnienia. Byłoby błędem przypuszczać, że tutaj parlament roznamiętnia masy. Przeciwnie, namiętność mas wpływa na posłów i wprowadza dziki ton do parlamentu. Jeżeli się zaś uda przywrócić w nim jakiś ład, oddziała to także na masy. Tymczasem najsłuszniejszą jest uwaga *Przeglądu*, jak to zakomunikowały nam dzisiaj lwowskie depesze pism tutejszych, że Galicya „wskutek bezparlamentarnych rządów pod względem ekonomicznym ponosi olbrzymią szkodę.“ Temu nie zdołają zaprzeczyć żadne sporadyczne koncesyjki. Niejednokrotnie podnosiliśmy, że sam wybór delegacyi, chociaż na teraz jest kwestyą palącą ogólno-państwowego znaczenia, nie może być jedynem zadaniem parlamentu, lecz chodzi o jego trwałe uruchomienie. To samo dobitnie wypowiedział prezes Jaworski. Widzimy więc z zadowoleniem, że w głównej rzeczy pozostajemy w zupełnej zgodzie z najbardziej upoważnionym tłumaczem przekonań i dążności Koła polskiego.

Gdyby konferencya dnia 24 bm. przyszła do skutku, oczywiście program niemiecki, ogłoszony na Zielone Świątki, stanowić będzie podstawę dyskusyi ugodowej. Zaraz po jego ogłoszeniu oświadczyliśmy, że tworzy on stosowną ku temu podstawę. Nietylko my Polacy nie mamy żadnego powodu odrzucać en bloc programu, który nie „wyklucza Galicyi“ (jak to dotąd twierdzą dzienniki, które sobie nie zadały pracy odczytania programu) i który wyraźnie zatwierdza polski język urzędowy w Galicyi. Ale także Czesi, jeżeli kierować się będą roztropnością, nie zaś namiętnością i frazeologią *Narodnich Listów*, mogą łatwo zgodzić się na dyskusyę tego programu, który, jak świeżo przypomniał *Fremdenblatt*, zapewnia im znaczne korzyści. Gdyby Czesi wstępowali do konferencyi pod hasłem: „nie wolno dyskutować programu niemieckiego“, dowodziłoby to tylko, że nie chcą ani porozumienia, ani uruchomienia parlamentu, lecz liczą na jakąś *force majeure*, zamach stanu, przewrót powszechny i t. d. Nie wiemy, czy na tej drodze pójdą za nimi Słoweńcy, jak przypuszczają *Narodni Listy*, ale z pewnością ani Koło polskie, chociażby było gotowem do wszelkich poświęceń dla „solidarności słowiańskiej“, ani katolickie stronnictwo ludowe, które rozstrzyga o większości, nie mogłyby wspierać młodoczechów w takiej taktyce. Nie trzeba też sprowadzać ad absurdum wyrazu „równouprawnienie“. Czesi posiadają zupełnie równe prawa z Niemcami. Nie mogą jednak stać się im równymi. Niemcy w Austryi zawsze będą zajmować pierwsze stanowisko; w delegacyach, w Radzie państwa, w wojsku, nigdy język czeski nie zdoła zastąpić niemieckiego; aby zostać ministrem w Austryi, na to zawsze będzie potrzeba umieć język niemiecki, nie zaś czeski i t. d. To wynika z historycznego rozwoju monarchii, i geograficznej sytuacyi i z tysiącznych innych okoliczności, których żadna radykalna frazeologia nie zdoła usunąć z pola rzeczywistości. Mechaniczne równouprawnienie jest niemożliwem, jest to tylko hasło, wymyślone celem uwiecznienia rozstroju.

Co i o czem piszą.

Słynne są od dawna polemiki prowadzone przez pewien odłam prasy lwowskiej. Słynne dlatego, że nigdy nie wyświecały sprawy o którą się toczyły, a więc nigdy się nie kierowały miłością do rzeczy publicznej, lecz zawsze były wywołane nienawiścią żywioną do przeciwnika mającego inne zdanie. Stąd też nie przynosiły krajowi żadnego pożytku, a sprawiały uciechę tylko tej części publiczności, która znajduje upodobanie w widoku wymyślających sobie ludzi. Nic więc dziwnego, że w takich warunkach doszło do tego, iż poważna część prasy powiedziała sobie: „nigdy i o nic polemizować nie będę“.

Tak się ma sprawa w regule, ale jak każda reguła, tak i ta ma wyjątki. Jeden z nich zapisać musimy.

Słowo Polskie doniosło przedwczoraj, że otrzymało list od jakiegoś konserwatysty z Krakowa, męża bardzo wybitnego i zwolennika *Czasu*, który zażądał od redakcyi *Słowa Polskiego*, aby przyparła *Czas* do muru i zapytała go, dokąd prowadzić myśli społeczeństwo w Galicyi?

Nie lubimy zagadek w rzeczach poważnych, a zwłaszcza, gdy się komuś robi jakiś zarzut. Więc jeżeli rzeczywiście istniał ten konserwatysta krakowski, to *Słowo Polskie* powinno było przedewszystkiem mu zaproponować, aby sam się udał do *Czasu* i bezpośrednio mu zadał to pytanie.

Nie sądzimy jednak, aby było rzeczą właściwą powiedzieć *Czasowi*, iż dlatego broni sojuszu Koła polskiego z Klubem czeskim, aby oswoić społeczeństwo polskie z ideą słowiańską i w końcu je oddać w ręce Moskali. Przecież redakcya *Słowa* sama tego zarzutu nie brała na seryo, więc jakże go mogła wypuścić w świat dla uciechy tłumu?

Czas dotknięty do żywego tym potwornym zarzutem, odpowiada dziś jak następuje:

Niechętnie zajmujemy się *Słowem Polskiem* — a już wszelka polemika z tem pismem jest po prostu niemożliwa w obec faktu, że nie spotykamy tam nigdy rzeczowych argumentów, ale zawsze bardzo dużo podstępnych insynuacyj i nieprzyzwoitych napaści; nie dla polemiki zatem, ale dla skonstatowania raz jeszcze metody potwarzy, używanej przez liberalny organ, zaznaczamy ostatni artykuł *Słowa*, zatytułowany „Ewolucya *Czasu*“. Pozoru do tego artykułu dostarczył list jakiegoś „bardzo konserwatywnego człowieka, jednego z przywódców sejmowych zachodnio galicyjskich, co najmniej w $^2/_3$ zwolennika *Czasu*“. Ten pan domaga się od *Słowa*, aby „przycisnęło *Czas* do muru“, a *Słowo*, czyniąc zadość temu wezwaniu, rozprawia szeroko o stanowisku, zajętem przez nasz dziennik i przez naszych przyjaciół (przyjaciół w całości, nie w dwóch trzecich) w ostatniej fazie wewnętrznej austryackiej polityki. Nie mówimy już o tem, że *Słowo* przekręca znaczenie jednego ustępu naszego ostatniego artykułu, w którym było zestawienie polityki 1848 roku z obecną, bo przekręcenie to jest tylko dowodem małej inteligencyi autora polemiki; ale trudno nie odeprzeć przewrotnej i złą wiarą natchnionej insynuacyi, zawartej w zdaniu: „pod pozorem walki z niemczyzną, zaczyna się rozpanoszać w obozie krakowskim rusofilska polityka, która wyzyskuje słowiański ruch naiwnych, żeby zezować na północny wschód“. Ten oszczerczy frazes rzuciło *Słowo Polskie* w nadziei, że potrafi w ten sposób osłonić swoją hakatystowską politykę, która wywołała ogólne oburzenie w naszem społeczeństwie, a która świadczy, że *Słowo* utraciło już zupełnie instynkt narodowy i w sprawach narodowych nie ma prawa sądu wydawać.

Zresztą jako okoliczności łagodzące przyjąć należy niektóre świeże wydarzenia, które redaktorów *Słowa* musiały niewątpliwie wyprowadzić z równowagi. Proces, wytoczony temu pismu o zwrot 230.000 zlr., zabranych z oszczędności lwowskich biedaków, zasądzenie Dreyfusa i *last but not least* konkurs otwarty do majątku Rutowskiego, to są rzeczywiście rzeczy zbyt bolesne dla interesowanych, aby mogli spokojnie i roztropnie pisać.

Co zaś do owego „konserwatywnego męża“, to odstępujemy *Słowu* wszystkie ułamki jego przyjaźni, tem bardziej, że jego konserwatyzm jest niezawodnie równie ułamkowy, jak jego przychylność dla *Czasu*.

W ogóle cały artykuł *Słowa* da się podzielić według proporcyi psychologicznej „konserwatywne-

Feljeton literacki.

Włodzimierz Zagórski (Chochlik).
Wybór poezyi. Nakład biblioteki dzieł wyborowych 1899.

Wobec nawału zbiorków wierszy dekadenckich, lub półdekadenckich, które jeżeli już nie zawierają utworów wprost dzikich, to przynajmniej takie, których bez komentarza osobisto-historycznego rozumieć nie można, zbiorek wymieniony w tytule, jest jakby oazą w pustyni. Czytelnik zmuszony błąkać się ciągle przez bezmiary nirwan, śnień, poświat, opalów, wonnych dźwięków i barwnych woni, utykający co chwila na głazach niezrozumiałości jakie rzuca mu pod nogi poezya naszych najmłodszych, odetchnąć może swobodniej, gdy dostanie do rąk książkę liryków takich, jakie zamieszczone są w tym „Wyborze poezyi“. Cóż to bowiem za miła niespodzianka dla takiego czytelnika, gdy przeczyta jedną kartkę, drugą, trzecią i o dziwo, nie tylko że wszystko bez łamania sobie głowy rozumie, ale doznawać zaczyna to smutku, to radości, rozrzewnia się, śmieje i t. d., wogóle wprawia się w rozmaite stany uczucia, co aż dotychczas uważano za pierwszy i główny warunek liryki.

Wiersze zawarte w tym zbiorze pochodzą z rozmaitych epok życia p. Zagórskiego. Wiele z nich znanych jest szerokim kołom czytelników, którzy dawno już zżyli się z tym sympatycznym pseudonimem: „Chochlik“. Niektóre jak n. p. „Nasz praszczur Noe świętym był“ doczekały się już tego zaszczytu, że setki ludzi umieją je na pamięć, a dziesiątki z nich nie wiedzą nawet kto je napisał, podobnie, jak dzieje się z utworami ludowymi. Nazwaliśmy to zaszczytem, gdyż w takiem zapomnieniu o autorze tkwi dowód, że wiersz sam tak podziałał na słuchacza, iż nie potrzebował rekomendacyi jakiegoś znanego nazwiska. Tyczy się to przeważnie tych wierszy, w których p. Zagórski jest Chochlikiem, t. j. owym figlarnym psotnikiem, przeskakującym lekko z miejsca na miejsce i żartującym sobie ze wszystkiego, co na swej drodze spotka. Ten rodzaj poezyi, dla której autora nie można chyba było znaleźć odpowiedniejszego pseudonimu, leżał widocznie najbardziej w jego charakterze i temperamencie i takich wierszy też w zbiorku najwięcej. Ale nawet te wiersze, które pod względem treści swojej nie są chochlikowatej natury, lekkością formy i zgrabnością wysłowienia podobne są do tamtych. Sam poeta najlepiej określa się w wierszu p. t. „Mój rodowód“ z którego wyjmujemy następujące charakterystyczne zwrotki:

Wykołysały mię wróżki trzy
W pieluszkach z babiego lata
I otrzymałem od każdej z nich
Wiatyk na drogę świata.

Pierwsza mi w usta włożyła miód
I sól i pieprzu dwa ziarnka
I złotostrunną mi dała gęśl,
Co strojem dzwoni Bekwarka.

Druga mi dała różowe szkła,
Bym na świat przez nie pozierał,
I wśród zawodów życia i zdrad
Mej wiary w ludzi nie sterał.

A trzecia z czarnych wyrwała chmur
Słoneczny promyk — jedyny!
I, bym rozpraszał nim smutku mgłę,
W pieśń go zaklęła dzieciny.

. . . .

Jak polny konik strzygę mą pieśń
Czy żniwo, czy też przednowek,
I jest mi obcym pszczół chciwych trud
I niemych obyczaj mrówek.

Jak polny konik nie dbam o zysk
I próżny zawsze mój worek,
Bo żeby nie mieć o środę trosk
Zjadam ją naprzód we wtorek.

Czy tam poeta rzeczywiście trzymał się zawsze zasady zjadania środy we wtorek, tego nie wiemy, nie obchodzi nas to, ale kładziemy nacisk na to wyrażenie, bo jego energia i zgrabność zarazem w takiem nazwaniu rzeczy po imieniu, są charakterystycznymi dla wszystkich poezyi Chochlika. Wszystkie te jego świetne balady, satyry, epigramata, które to zapamiętują się tak łatwo, odznaczają się tem właśnie, że autor nie cofa się przed nazwaniem rzeczy po imieniu, zarazem w najdosadniejszej, najkrótszej i najwdzięczniejszej formie. Dzięki tej właściwości, nawet najpoważniejsze w treści wiersze Chochlika, zawierające nieraz sporą dozę smutku i bolu głębokiego nad nędzą świata, wyglądają na pozór, jakby były wesołe. — Poeta stale nosi maskę wesołości, do której noszenia nawet się przyznaje w następujących zwrotkach wiersza pt. „Non dolet“:

A kiedy przyjdzie śmierć mi zawrzeć oczy
I wolę zetrą mi przedzgonne lęki,
Niech bratnie duchów kółko mię otoczy
I najszaleńsze me nuci piosenki,
By skarga brzmiąca w mym bezwiednym jęku
Zagasła w śmiechu i kieliszków brzęku.

. . . .

A kiedy mnie już pośród was nie będzie,
Niech nikt nie bada tajni mego życia:
Jaki duch stroił mych piersi narzędzie
I z jakich włókien jam prządł moje śnicia,
Bo gdybym to wam otwarcie wynurzył,
Duch by wasz pobladł i zadrżał i stchórzył.

. . . .

Słowa te jak i cały wiersz zdają się przeczyć zjadaniu środy we wtorek. Ale w tem zaprzeczeniu tkwi prawda życia, które pozornie także przeczy sobie co chwila. Musiał już być nielada bolesny stan duszy poety w chwili, gdy wiersz ów pisał, skoro przyznał się do tej maski sam, bezpośrednio. Nasi „najmłodsi“ ciągle lamentują, ciągle nibyto szydzą z nędzy żywota, wciąż aż do znudzenia powtarzają, że samo życie jest maską, ale wszędzie u nich to poza najczęściej. Chochlik rzeczywiście nosi maskę wesołości, pod którą, jak życie grozę na dnie swojem, ukrywa smutek głęboki i poczucie nędzy. Dowody prawdy, zawartej w tym wierszu, to większość niemal wierszy Chochlika. Więc to nie poza, to przyznanie się do maski, którą nosi się ot, aby sobie i drugim życie znośniejszem uczynić przez wydobywanie wszystkiego, co w niem ma choć jaki taki pozór radości, humoru i chwilowego upojenia niepamięci. Trzeba dopiero albo ten wiersz przeczytać, albo wniknąć w inne wiersze Chochlika głębiej, ażeby się przekonać, że tam nawet w w najszaleńszych żartach, najswawolniejszych kpinkach lub erotykach przewija się na spodzie czarna żyłka pesymizmu, lub szarzeją cienie filozoficznej melancholii z powodu wad tego świata.

W wierszach swoich bawi się i żartuje Chochlik ze wszystkiego. Od najzwyczajniejszego jakiegoś codziennego zdarzenia aż do ważnego jakiegoś zagadnienia filozoficznego nic nie ostoi się przed tą jego żądzą żartowania. Przytem proces, który odbywa się w tworzeniu tych wierszy, dałby się mniej więcej w ten sposób określić: Chochlik biegnie przez życie i jako natura wrażliwa utyka co chwila to na tej, to na owej leciuchnej nieraz zawadzie.

U jednych drobna przykrość wywołuje zaraz smutek, płacz lub złorzeczenia, drudzy śmieją się w pierwszej chwili z wypadku. Nie znaczy to, żeby ten, który się śmieje, mniej odczuwał wypadek. Nie — on tylko szybciej przezwycięża swoje osobiste wrażenie i dochodzi do punktu, na którym objektywnemu już jego oku narzucają się śmieszne strony wypadku. Tamten pierwszy dojdzie także do tego, ale znacznie później, gdyż słabszemu jego rozumowi trudniej się wyzwolić z pod przemocy bezpośredniego wrażenia. To też ten, który od początku się irytował, zazwyczaj na końcowym śmiechu wyczerpuje całą swą zdolność do objektywizmu, podczas gdy ów, który się śmiał już zaraz po wypadku, biegnie dalej i dochodzi aż do tej granicy, na której objawia się zasadniczy podkład jego organizacyi duchowej, jak optymizm, melancholia filozoficzna, obojętność etc.

Ale u Chochlika zbyt często następują po sobie wypadki, aby je mógł wyczerpywać aż do tych ostatecznych punktów. A zresztą choćby i tak nie było, to ma on zbyt wiele znajomości praktycznego życia na to, by wyczerpywaniem każdej rzeczy aż do spodu miał sobie życie rozgoryczać. Cóż dopiero gdy jako poeta t. j. pośrednik między życiem a jego pojmowaniem u ludzi ma drugim uprzystępnić to, czego oni w tym lub owym wypadku dojrzeć nie zdołali. Tu w wierszu reprodukuje on swoje wrażenia aż do chwili zaobserwowania stron śmiesznych, ale skoro tylko dostrzeże niebezpieczeństwo zamącenia dobrego humoru, woła na swą wenę poetycką: „stój!“ i urywa tam, odkądby już mówił tylko same smutne rzeczy. Zostaje tylko atmosfera i perspektywa smutku, namalowana raz wyraźniej, raz mgliściej, a ty czytelniku rób z nią sobie, co ci się żywnie spodoba. Jeżeliś czuły na nią, to utop się w niej i smuć się, a jeżeli dość ci na śmiechu, to idź dalej od wiersza do wiersza i baw się.

Dla ilustracyi trzech rozmaitych gatunków większej, t. j. wesołej części utworów Chochlika, podajemy tu kilka ich próbek. Oto np. jeden z erotyków:

Ja nie chcę słuchać głosów tych,
W których przestrogę słyszę,
Gdy tonę w niebie oczu twych,
Na ustach twoich wiszę.

Ja nie chcę wiedzieć, ile zdrad
W tych drzemie wód głębinie,
Po których srebrny znacząc ślad
Łódź nasza krucha płynie.

. . . .

Nalej mi wina pełny kruż —
Niech szał się z szałem splata!
I dłonie na mych oczach złóż,
Bym zdrad nie widział świata.

go mężа". Jest on w dwóch trzecich częściach niedorzeczny, a w jednej trzeciej przewrotny. A w końcu mała uwaga: autorowi artykułu, rozprawiającemu na szpaltach *Słowa* o Panamie, przypominamy, *qu'on ne parle pas de corde dans la maison d'un pendu.*

*

Jeszcze przed dwoma laty donieśliśmy w *Przeglądzie* o tem, że podobnie jak muchy roznoszą zarazek karbunkułu, a pchły i pluskwy zarazek dżumy, komary są roznosicielami zarazka malaryi. Teraz *Wszechświat* streszcza rezultaty nowych badań, przedsięwziętych w tej samej sprawie przez d-rów Grassiego i Roberta Kocha we Włoszech i w Indyach. Ze streszczenia tego wyjmujemy opis środków, za pomocą których owi uczeni zbadali sposób przenoszenia malaryi, i ten fakt, że komary nie przenoszą choroby z człowieka na człowieka bezpośrednio. Pomiędzy ossaniem się moskita krwią człowieka chorego na malaryę a ukąszeniem człowieka zdrowego musi upłynąć pewien przeciąg czasu, jeżeli ukąszenie ma być zaraźliwem. Bakterye bowiem malaryczne, zanim staną się zdolne do rozmnażania się w organizmie ludzkim i wywołania choroby, muszą we wnętrzu moskita odbyć pewną fazę swojego rozwoju. Oto jak *Wszechświat* streszcza te badania:

"W kanale pokarmowym i ściance żołądka moskitów, które ssały krew chorych malarycznych, wymienieni badacze znajdowali komórki, nader podobne do znanych w krwi ludzkiej plazmodyów malaryi; komórki te tem bardziej stawały się podobne do plazmodyów malaryi, im dłużej znajdowały się w kanale pokarmowym komarów. Aby przekonać się, że to są rzeczywiście plazmodya malaryi, uczeni ci przeprowadzili cały szereg doświadczeń z ptakami (wróblami, skowronkami); trzymano bowiem kilkanaście ptaków, dzielono je na dwie partye, i na jedną z nich puszczano moskity, które poprzednio ssały krew chorych na malaryę. Po kilku dniach można było znaleźć we krwi ptaków pokąsanych plazmodya malaryi, gdy tymczasem krew drugiej partyi była od nich zupełnie wolna. Doświadczenia te, wielokrotnie powtórzone, przekonały tych badaczów, że się nie mylą. Dalsze próby ustaliły fakt niezbicie. Badania jednak powyższe nie dotykały wprost sprawy i dopiero na drodze szeregu badań ścisłych, drobiazgowych i uciążliwych doświadczeń przekonano się, że pasożyt malaryi odbywa cykl swego rozwoju we krwi zwierząt kręgowych i bezkręgowych. Komar zatem nie tylko jest pośrednikiem, ale czynnikiem, ułatwiającym rozwój zarazka. Rozumiemy więc teraz dokładnie, dla czego malarya nie może udzielać się bezpośrednio człowiekowi od człowieka: pasożyty malaryi muszą odbyć pewne fazy swego rozwoju w organizmie komara, aby były znowu zdolne do zarażenia. Badania Grassiego w celu dowiedzenia się, czy wszystkie gatunki moskitów mogą przenosić zarazek na człowieka, przekonały go, że tylko trzy gatunki są roznosicielami zarazków: „Culex penicillaris", „Culex malariae" i „Anopheles claviger", zwany we Włoszech „Zanzarone"; ten ostatni przyczynia się najczęściej do wywołania malaryi. Inne gatunki, jak np. „Culex pipiens" (komar brzęczący), nie udzielają człowiekowi zarazka malaryi, udzielają go jednak ptakom, wywołując u nich objawy chorobowe."

Zastanawiając się nad temi badaniami, dochodzimy do wniosku, że przy nich trzeba było badać zawartość żołądka komara i urządzać na nim sekcyę. Otóż ku temu celowi sporządził dr. Ross nader delikatną maszynę, której zadaniem jest zbadać komarzy żołądek. Jest to rodzaj gilotyny, a raczej szeregu mikroskopijnych gilotynek, z których każda bardzo cienkiemi nożykami rozkrawała ciało komara na 60 części. Do tej operacyi przystępowano w ten sposób, że po odpowiedniem spreparowaniu moskita, zanurzano go w wosk, a dopiero po stwardnieniu, poddawano pod nóż gilotynki. W ten sposób badano, czem udało się dotrzeć do przewodu pokarmowego komara i odkryć w nim plazmodye malaryi.

Badania Grassiego, Kocha i Rossa mają niezwykle znaczenie naukowe, lecz wskazując sposób rozprzestrzeniania się zarazka malaryi, dają człowiekowi do ręki broń do zapobiegania powstawaniu i szerzeniu się tej choroby, już to przez bezpośrednie działanie na zarodki komarów w celu zniszczenia ich, już to drogą zabezpieczenia człowieka od ukąszenia komarów. Ma to tem większe znaczenie, że objawy malaryczne nie zawsze są łagodne, są bowiem formy malaryi, przebiegające nader ostro, wywołujące śmiertelną *cachexia malarica*. Tak np., podług statystyki Celliego, są we Włoszech miejscowości, gdzie rocznie zapada na malaryę 2 miliony osób, a umiera nie mniej, jak 15.000.

*

Znane jest przysłowie: „Komu niebo było wrogiem, zrobiło go pedagogiem". Otóż przychodzi ono na myśl, gdy się czyta skargę, jaką roztoczył przed jednym z redaktorów *Kuryera Warszawskiego* pewien pedagog warszawski. Redaktor *Kuryera Warszawskiego* opowiada:

Rozmawiałem z pewnym nauczycielem prywatnym. Miał biedaczysko minę tak kwaśną i skrzywioną, jak gdyby się napił octu siedmiu złodziei, albo jakby mu wszyscy uczniowie poprzepadali przy egzaminie wstępnym.

Pytam go:

— Cóżeś pan taki jakiś?... Boli pana co?

— A oni na to z westchnieniem:

— A żebyś pan wiedział, że boli...

— No?... cóż takiego?... głowa?... zęby?... żołądek?...

— Niegodziwość ludzka! — wybuchnął i zaczął się wyżalać w ten sposób:

— Wyobraź pan sobie, co mnie spotkało... wiadomo panu, że darmo chleba nie jadam, żyję skromnie, ale na utrzymanie swoje pracuję ciężko. W naszym zawodzie pieczone gołąbki nie lecą do gąbki! ... Człowiek się po tych lekcyach nawłóczy przez dzień cały, że wieczorami to już nóg nie czuje, a piersi go bolą, jakby w kuźnię dmuchał. Miejsca o to ciężko... z czegoś przecie żyć trzeba. Niechby tylko tych lekcyi nie zabrakło, ale z temi, drogi panie, coraz większy kłopot, bo to i współzawodnictwo wzrosło i jeden drugiemu wydziera, niby jaką posażną jedynaczkę. Istna licytacya in minus się urządza, byle tylko złapać pupila... Trafiła mi się tu, panie, lekcya w zamożnym domu. Płacili mi przyzwoicie: u pewnego kupca za 15 rubli miesięcznie; zgodziłem się i od 1 września miałem rozpocząć naukę. Przychodzę tedy w dniu oznaczonym, wesołego nastroju, a tu mi powiadają, że jestem już niepotrzebny, bo coś się tam zmieniło, jakieś nowe kombinacye zaszły, zaczynają kręcić, tłumaczyć się, aż w końcu wyłazi szydło z worka, że sobie znaleźli „tańszego" korepetytora. Bardzo pięknie, ale dlaczego mnie wcześniej o tem nie zawiadomili, dopiero w ostatniej chwili?... dlaczego rozwiązali ze mną umowę, nie poczuwając się do żadnego zobowiązania?... Przecież, mój panie, ja z tego żyję, i każdy taki zawód to mi uszczerbek sprawia, a trzeba panu wiedzieć, że mi się taka niespodzianka już niejednokrotnie zdarzyła. Zawsze ten „tańszy" wlazł mi w drogę i musiałem przez niego odejść z kwitkiem. No, powiedz pan, czy takie postępowanie można nazwać sumiennem i uczciwem?.. Toż, gdybym się zgodził gdzie na kucharza lub kamerdynera, miałbym prawo do wynagrodzenia na wypadek zerwania ugody!...

— Ba! widzisz pan — rzekłem — kucharze i kamerdynerzy są przezorniejsi od korepetytorów, oni biorą zadatek. Przegrałeś sprawę, profesorze; nie należało być zanadto łatwowiernym i zbyt ufającym.

Profesor przez okulary wytrzeszczył na mnie zdziwione oczy i nie dowierzając, abym mówił serio, burknął:

— Także!.. A cóż to chciałbyś pan, żebyśmy się w naszym zawodzie godzili, jak fagasy, do obowiązku?

Uścisnąłem go za rękę i przeprosiłem za tę żartobliwą uwagę, ale pomyślałem w duchu:

— Możeby to jednak praktyczniej było, gdy się ma do czynienia z „inteligencyą," która dla marnego rubla gotowa złamać słowo, a między pedagogiem i froterem nie umie często robić różnicy.

Echa z wód.

Trouville-Deauville, we wrześniu.

Wracam z wyścigów. Prześliczna pogoda, lekki orzeźwiający powiew od strony morza, tłumy strojnej publiczności, wystawa toalet, moc brylantów, odurzająca woń perfum, wspaniałe zaprzęgi, oryginalna liberya i t. p., a nadewszystko dobór koni wyścigowych, — słowem niczem Paryż. Co prawda, tak znakomitego terenu wyścigowego, jaki ma Deauville, może pozazdrościć nietylko Paryż, lecz i inne miejscowości wyścigowe Europy. Po Paryżu też najświetniejsze wyścigi są właśnie w Trouville-Deauvile. W ciągu dziewięciu dni gonitw, rozgrywa się tutaj 320.000 franków, a w sumie tej jest kilka nagród po 40.000 fr. Bliskość stolicy oraz kąpiele ściągają tu cały wielki świat Paryża, a w części Londynu i Madrytu. Przy tej sposobności może nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że we Francyi w ciągu roku rozgrywa się 6,672.000 franków, gdy Anglia na wyścigi wydaje 12.731.000 fr. rocznie. Liczba gonitw w Anglii wynosi rocznie 1.921, we Francyi jest ich tylko 1.397. Koni wyścigowych Anglia posiada 3.571, a Francya 1.921. Najwyższa nagroda w Paryżu i to jedyna wynosi 200.000 fr., gdy w Anglii są trzy nagrody każda po 250.000 fr. Na pocieszenie swoje Francuzi przypominają, że w Berlinie, Badenie i Kolonii najwyższe nagrody wynoszą po 125.000 fr.

Historya wyścigów we Francyi sięga roku 1661go, gdy po raz pierwszy książęta Jogeuse i d'Harcourt urządzili publiczne gonitwy koni, żywionych przez czas dłuższy chlebem z anyżem i świeżemi jajami w liczbie 300 sztuk dziennie na każdego konia.

W końcu wieku zeszłego wyścigi uważano jako rzecz już niemodną. W pierwszych latach panowania Ludwika Filipa, dzisiejsze wyścigi biorą właściwie swój początek. W roku 1833im dnia 11go listopada powstało „Towarzystwo ulepszenia rasy koni we Francyi".

Jak dalece towarzystwo to przyczyniło się do ulepszenia rasy koni, przekonać się może o tem każdy nawet powierzchowny obserwator, który pojedzie po południu do lasku Bulońskiego i przypatrzy się temu mnóstwu prześlicznych koni, jakie posiada Paryż.

Sezon kąpielowy w Trouville'u jest w pełni rozwoju. Słusznie Trouville szczyci się mianem królowej wybrzeży morskich. Istotnie wybrzeże jest tu niezrównane. Wyniosły brzeg morski, okryty zielenią drzew, wśród których wznoszą się okazałe wille arystokracyi, plutokracyi i burżuazyi paryskiej, znakomicie utrzymane drogi, prześliczne spacery w okolice, wyborne kasyno, doskonała orkiestra, dobór solistów w operze, wszystko to razem wzięte, czyni pobyt w Trouville'u nader miłym. Gdy w pobliskim Paryżu, odległym stąd o 3 i pół godziny koleją, ludzie omdlewają skutkiem upałów, my tu mamy wciąż mile chłodzący powiew od morza. Mimo to wszystko, hotelarze i restauratorowie uskarżają się na obecny sezon. Właściwie jesteśmy u rozwoju sezonu, wyścigi bowiem ściągają zwykle nietylko świat najwyższy, lecz zarówno ludzi średniej miary, których stać na to, aby przez czas krótszy użyć rozkoszy życiowych.

W sezonie bieżącym, wbrew tradycyi długoletniej, przepełnienia nigdzie nie widać. Wielki świat i właściciele willi są tu na stanowisku, lecz po za tem, sfery ludzi, którzy tworzą tłumy w hotelach, restauracyach i kawiarniach dotąd nie ma do zbytku, a już chyba i nie będzie. Okoliczność tę przypisują przedewszystkiem polityce, a właściwie rozgrywającemu się obecnie procesowi Dreyfusa, brakowi gotówki, oraz wystawie powszechnej w roku przyszłym. Wiele osób oszczędza się teraz, aby mieć możność odwiedzić Paryż w roku przyszłym. To też cudzoziemców względnie jest mało. Najgorzej na tem wyjdą dzierżawcy gier w kasynie, płacą oni bowiem za sezon rocznie 300.000 fr. czynszu; z pośród 14 stołów do gry w „bakara", dotąd mimo wyścigów, „pracuje" tylko pięć.

Regaty, *„tir aux pigeons"*, międzynarodowy turniej gry w „Polo", wycieczki statkiem do Hawru oraz powozami w okolice, bale w każdą sobotę dla dorosłych, a dla dzieci we czwartki, a obok tego dwa razy dziennie koncert w Kasynie, przedstawienia operowe trzy razy tygodniowo — oto co daje Trouville w zamian za złoto i banknoty, które tu bardzo lubią. Niezmiernie sympatyczne wrażenie robi gra „Polo", jest to coś, co przypomina czasy średniowieczne rycerskości. Konno gonią przed siebie kule krokietowe młotkami, osadzonemi na długich drążkach. Ten, kto przepędzić potrafi kulę po za metę, zdobywa nagrodę. Konie do tej gry są umyślnie tresowane, a trzeba mieć nadzwyczajną wprawę i zręczność, by w pełnym galopie dosięgnąć kuli, tembardziej, że jeźdźcy nawzajem sobie przeszkadzają, odbijając kulę w rozmaite strony. Anglicy dotąd zdobywają niemal wszystkie nagrody. Warto byłoby, by i Lwów zdobył się na „Polo", gra ta bowiem rozwija znakomicie siłę fizyczną i zręczność.

Wiktor Emanuel na polowaniu.

Dzienniki włoskie opowiadają dużo anegdot o Wiktorze Emanuelu. Był on zapalonym myśliwym. W skromnym, niewykwintnym kostyumie, ścigał kozice w miejscach niedostępnych, gdzie bali się dotrzeć najbardziej nieustraszeni. Pogubiwszy po drodze swoich towarzyszy, zapędzał się często sam w nieznane ustępy, i, gdy dzień miał się ku schyłkowi, zmuszony był nieraz prosić o gościnność w jakimś nędznym szałasie. Dowiadywał się wówczas o rządzie i urzędnikach swoich mnóstwo nieznanych rzeczy; niejednokrotnie też spełniał tu i ówdzie dobre uczynki. Pewnego dnia znalazł się sam w jakimś zapadłym kącie gór piemonckich i zapukał do drzwi szałasu górskiego. Staruszkę która mu drzwi otworzyła, rozpytał o drogę i poprosił o szklankę mleka. Odpoczywając, rozmawiał z gospodynią:

— Czy mógłbym co dla was uczynić, dobra kobieto?

— Ach, tak — odparła staruszka — przybywacie właśnie w porę, musicie zastrzelić jastrzębia, który porywa moje kurczęta.

— I to wszystko? — zapytał król. — Nie widzę nikogo w waszem sąsiedztwie, czyż byście zatem mieszkali samotnie?

— Niestety — westchnęła boleśnie kobiecina — mieszkałam do niedawna z wnukiem. Ale i mego Wiktora Emanuela wzięli jak innych, bo dziś wszyscy młodzi ludzie muszą być żołnierzami. Mówiono mi, że nie jest to winą króla, że musi do swej służby zaciągać każdego. Wierzę w to, ale bądź co bądź, jest to bardzo smutnem dla biednych starych żyć w takiem osamotnieniu, jak ja.

— A w którym pułku służy? — zapytał król.

— Och, nie umiałabym panu powiedzieć, ale mam list od niego. Nauczyciel musi mi go przeczytać w przyszłą niedzielę. Albo może wy zechcecie? Może dowiecie się z niego o numerze pułku.

Staruszka poszukała listu i wręczyła go królowi, który przeczytał go z żywem zainteresowaniem. Postanowił bowiem sobie po cichu uwolnić zupełnie żołnierza i pozwolić mu wrócić do gór ukochanych. Następnie schwycił Wiktor Emanuel za strzelbę i oddalił się. Wkrótce rozległ się strzał i szczęśliwy myśliwy złożył przed staruszką skrzydlatego rabusia.

— Ach, dziękuję panu — zawołała uradowana babina — oto 50 centymów za wasz trud.

Król schował monetę bez szemrania i pożegnał się z błogosławiącą go starowiną. Następnego roku nie omieszkał odwiedzić tegoż szałasu. Wiktor Emanuel znalazł się znowu sam, ale babinka była już w towarzystwie wnuka. Były żołnierz poznał króla natychmiast. Stracił zupełnie przytomność umysłu, podniósł się tylko i salutował po wojskowemu. Babka jego nie zrozumiała niczego.

— A to co? — zapytała — przecież to ów zacny myśliwy, który, jak ci opowiadałam, zabił jastrzębia podczas twej nieobecności.

— Ależ nie, babuniu, toż to król! — szepnął młody człowiek.

Wiktora Emanuela bawiło to bardzo. Babinka nie straciła jednak kontenansu, lecz poczęstowała króla szklanką mleka, tak samo, jak przeszłego roku.

Innego razu polował król Wiktor Emanuel w towarzystwie jednego adjutanta w dolinie Cogne. Obydwaj ubrani byli w grube kurty i niktby się nie domyślił z niepozornej powierzchowności — króla. Zapukali do pewnego domostwa i poprosili o szklankę wody kobietę, zajętą skrobaniem ziemniaków. Wzięła ona swych gości za pospolitych, zawodowych myśliwych, polujących na kozice. Gdy król się pokrzepiał, zadała mu kilka pytań?

— Czy to prawda, że król poluje tu w pobliżu?

— Tak mówią, dobra kobieto.

— Ale król nasz, jeżeli wszystko, co opowiadają jest prawdą, ma być galantem najgorszego gatunku. Nie mogę być spokojną, bo muszę panom powiedzieć, że mam bardzo ładną i mądrą córkę. Gdy król ją dostrzeże, umrę z kłopotu. Dlatego trzymać ją będę pod kluczem tak długo, dopóki trwać będzie pobyt króla w tych okolicach!

Il rè galantuomo szybko wypił swą szklankę wody i ulotnił się. Jakkolwiek miał wielką ochotę ujrzeć ową piękną córkę, mieszkającą w tem domostwie, uznał za rozsądniejsze nie nagabywać tego domu.

Z innej opowieści poznajemy Wiktora Emanuela w dniu szczęśliwszym. Polował znowu w górach piemonckich i zamierzał przejść strugę, która wezbrała wskutek deszczów.

— Hej, przyjacielu — zawołał król na pewnego chłopa — przenieś mnie na barkach swoich na drugi brzeg.

— Chciałbym chętnie — odpowiedział chłop — ale wyście tłuściochem i musicie być ciężarem nielada.

— Zobaczymy; ileż chcecie? — pytał Wiktor Emanuel.

— Och! pięć franków — odparł chłop z pomrukiem. — I to nie wystarcza właściwie za taki ciężar. A teraz pójdźcie... i wiedźcie, że nie wolno wam się ruszyć, bo zrzucę was w pośrodku strugi.

Połowę strumyka przebyli bez szwanku, ale właśnie w pośrodku Wiktor Emanuel obejrzał się, żeby przekonać się, czy wyżeł dąży za nim, chłop zachwiał się i począł wymyślać bez ogródki, a złożywszy swój ciężar na drugim brzegu, klął zawzięcie. Wiktor Emanuel wysłuchał cierpliwie wyzwisk, poczem wręczył chłopu dziesięć franków, a widząc, że się udobruchał, wdał się z nim w rozmowę. Dowiedział się, że włościanin ten marzył oddawna o posiadaniu osła. Najbliższe miasto, Turyn, było jednak zbyt oddalone, żeby bywać tam często pieszo.

— Mając osła, jeździłbym do stolicy dwa razy w tygodniu, żeby spieniężać warzywa.

— Nie wolelibyście może konia? — pytał król.

— Bezwątpienia; ale koń zbyt drogi, a nadto potrzebuje pomieszczenia, podczas gdy osła lokuje się byle gdzie.

Wreszcie król pożegnał się z chłopem, a tego samego wieczoru zalecił zarządcy fermy, którą posiadał w pobliżu, ażeby bezzwłocznie posłał chłopu najlepszego konia ze swej stajni i 400 franków. Łatwo wyobrazić sobie radość tak suto obdarzonego. Ale przelękło się chłopisko nie mało, gdy dowiedział się, że ofiarodawca i strzelec, którego tak niechętnie dźwigał przez strugę — to Wiktor Emanuel w jednej osobie. Pałał więc gorącą chęcią uniewinnienia się.

Będąc później w Turynie, dostrzegł elegancki pojazd króla; zeskoczył tedy co prędzej z wozu i pobiegł za ekwipażem królewskim, krzycząc głośno, aż król się obejrzał i kazał wstrzymać konie. Chłop przykląkł na stopniu pojazdu, ucałował rękę króla i dziękował gorąco za wspaniały podarek, przepraszając zarazem za swe gburowate obejście. Wiktor Emanuel śmiał się wesoło, uścisnął prawicę chłopa i zapewnił go że król włoski ani chwili nie pamiętał obelg, wyrządzonych jakiemuś myśliwemu, polującemu na kozice.

Sztuka murzyńska.

Już nieraz Europejczycy, zdobywając w odległych częściach świata kraje, zaludnione przez ludzi innej rasy i otwierając te przestrzenie dla kultury europejskiej, ze zdumieniem przekonali się, że tubylcy bynajmniej nie byli owymi dzikimi barbarzyńcami, za jakich ich miano, przeciwnie, że wytworzyli u siebie samoistną kulturę, zbudowaną na wiekowych tradycyach, która jednakowoż pod ciosami pierwszych brutalnych zdobywców niepowrotnie zginęła, pozostawiając jedynie szczątki, z których badacze poznać mogą dawną jej świetność. Tak było w Meksyku, w kraju Inkasów i w wielu innych wypadkach. O murzynach atoli nikt czegoś podobnego się nie spodziewał; rasę czarną uważa się powszechnie za tępą, niezdolną wytworzyć samodzielnie czegoś, coby w naszych oczach na miano kultury zasługiwało. Tymczasem nadchodzą teraz wieści, wobec których takie zapatrywanie ostać się nie może. Przekonujemy się, że murzyni stworzyli zupełnie samodzielnie, bez żadnego wpływu z zewnątrz, sztukę, której zabytki budzą dziś podziw i zachwyt znawców!

Na północ od Wybrzeża Złotego, a na zachód od Nigru, istniało do niedawna silne państwo murzyńskie; główne miasto jego nazywało się Benin. W nowszych czasach nie dochodziły do Europy żadne wieści o tym kraju; ale w dawnych opisach podróży z 16 i 17 wieku opowiadano o Beninie rozmaite dziwy: dachy niektórych domów miały tam być ozdobione zwierzętami, odlanemi z bronzu, słupy drewniane pałacu królewskiego pokryte płaskorzeźbami również z bronzu, a z szczytów pałacu miały się zwieszać sięgające aż do ziemi misternie z spiżu wykonane węże! W owych czasach bowiem, mieszkańcy Benina utrzymywali żywe stosunki handlowe, nietylko ze wschodniemi krajami, ale także z Portugalią i Holandyą. Otóż opisom tych kupców portugalskich i holenderskich nie dawano wiary, w późniejszych zaś czasach te pogłoski poszły w niepamięć, gdyż z chwilą, gdy Europejczycy poczęli jedynie po to zwiedzać Afrykę, aby zdobywać niewolników, mieszkańcy Beninu zamknęli swój kraj dla białych przybyszów i odtąd ani jeden podróżnik europejski tam się nie dostał. Dopiero w r. 1897 Anglicy rozgniewani zamordowaniem jakiejś ekspedycyi, wtargnęli do kraju, spustoszyli go, państwo całe zniszczyli, stolicę zrównali z ziemią, a przeważną część mieszkańców w pień wycięli. Jako zdobycz wojenną zabrali zwycięzcy wielką liczbę dzieł sztuki, które ku wielkiemu swemu zdziwieniu znaleźli w Beninie, część ich zdobi teraz „British Museum", część zaś zakupiono do Berlina dla tamecznego muzeum ludoznawczego.

Otóż ze zdumieniem patrzymy na te zabytki przedziwnej kultury artystycznej, która rozwinęła się u „dzikich" murzynów bez najmniejszego wpływu obcych wzorów. Są w tym zbiorze cudowne rzeźby z kości słoniowej i misterne roboty z bronzu, nie wykazujące pokrewieństwa ani z kształtami wyrobów asyryjskich, ani fenickich, ani egipskich. Mamy do czynienia z rodzimym stylem murzyńskim, co stwierdza także porównanie tych okazów z nowoczesnymi wyrobami murzynów innych szczepów — tylko że te nowoczesne wyroby są nadzwyczaj prymitywne, podczas gdy wyż wymienione bronzy i rzeźby dowodzą istnienia wysokiej kultury i rozkwitu artystycznego. O tem kiedy ten rozkwit miał miejsce, dzieła te same nas pouczają, widzimy bowiem na niektórych płytach rzeźbione postacie Europejczyków, których strój i uzbrojenie niewątpliwie okazuje że są to Portugalczycy i Holendrzy z 16 i 17 stulecia.

Podobizny te Europejczyków zresztą nie należą do najlepszych rzeczy w tym zbiorze; wiele szczegółów w nich źle pojęto, niektóre wymiary są fałszywe, tak n. p. nosy są kolosalnej wielkości — widocznie w porównaniu z murzyńskimi, nosy europejskie wydały się artystom niezmiernie długie i spiczaste. O wiele wyżej tak pod względem kompozycyi jak i wykonania, stoją wizerunki murzynów. Widzimy tam wojowników, uzbrojonych od stóp do głów, osoby cywilne przyodziane tylko w fartuchy, oraz postacie bogato tatuowane, więc widocznie należące do jakiegoś obcego szczepu murzynów. Częstokroć widać króla, w prawej ręce trzymającego miecz, a w lewej siekierę kamienną, jako oznakę władzy od bogów mu powierzonej; zwykle towarzyszą mu dwaj słudzy czy też dworzanie, którzy wspierają go pod ramiona — widocznie największy zbytek, jaki znano w głębi Afryki. Na jednym wizerunku król siedzi na koniu, ale dziwnym sposobem tak, jak u nas jeździczynie, obie nogi zwieszają się po lewej stronie grzbietu końskiego; i tutaj słudzy podtrzymują ramiona królewskie, a nadto dwaj trabanci tarczami osłaniają władzcę od żaru słonecznego.

Obok tych rzeźb wypukłych znajdują się inne, również czworogranne płyty, pokryte rzeźbą bardziej płaską; widzimy na nich zwierzęta, jako to: pantery, węże, krokodyle; bronie i narzędzia, a nawet podobiznę firmamentu niebieskiego, na którym widnieją słońce, księżyc i gwiazdy. Są także w zbiorze tych zabytków okazy olbrzymich węży, oraz przedziwnie modelowane koguty; dalej rozmaite narzędzia domowe i model bronzowy domu, prawdopodobnie pałacu królewskiego. Na jednej z płyt widzimy grupę figuralną: królowę Beninu wraz z orszakiem niewieścim. Niejasnem jest przeznaczenie całego szeregu wielkich głów murzyńskich, zaopatrzonych w hełmy i naszyjniki, a przedziurawionych na wierzchu; niektórzy utrzymują, że służyły one jako cokoły do ustawiania rzeźbionych zębów słoniowych; bardziej prawdopodobnem jest przypuszczenie, że głowy te zdobiły groby królów i przypominały dawny zwyczaj ozdabiania grobów królewskich prawdziwemi głowami ludzkiemi. Głowy te są dość po partacku, z gruba wykonane; jest jednak w zbiorze kilka innych głów bronzowych, widocznie będących portretami w właściwem znaczeniu tego słowa; w tych ujawnia się prawdziwie artystyczne poczucie i nawet w naszem pojęciu nadzwyczajne opanowanie strony technicznej i artystycznej. Jeden z tych biustów zasługuje wprost na miano arcydzieła.

Bardzo ciekawą jest technika odlewnictwa tych artystów. Posługiwali się oni najtrudniejszym i najbardziej skomplikowanym sposobem, który w Europie wszedł w używanie w czasie Odrodzenia i zwłaszcza był stosowany przez Benvenuta Cellini'ego, później jednak poszedł w niepamięć, a obecnie znów jest praktykowany, i uważany bywa za szczyt nowoczesnego odlewnictwa! Czy czarni artyści sami ten sposób wymyślili, czyli też nauczyli się go od Europejczyków, jeszcze nie skonstatowano.

W każdym razie stosowali go z zdumiewającą zręcznością. Za pomocą pilników, młotków i szczypczyków, z niesłychaną starannością usuwali nieuniknione braki, pochodzące z odlewania i pokrywali figury przedziwnie cyzelowanemi ozdobami. Zdaje się, że artyści ci w ogóle nie znali przeszkód technicznych.

Na razie można tylko z pobieżnego wrażenia sądzić o tych dziwach. Niebawem wyjdzie monografia o nich, pióra profesora Luschana, kustosza muzeum ludoznawczego w Berlinie i przed całym światem artystów, estetyków i miłośników sztuki zrehabilituje zdolności kulturalne i artystyczne murzynów.

KRONIKA.

Lwów 14 września.

Intronizacya ks. metropolity Kuiłowskiego. Wczoraj o godz. 2 po południu przyjechał ks. metropolita Kuiłowski z Wiednia. Na dworcu powitała go kapituła gr. kat., poczem pojechał metropolita do św. Jura, gdzie u bramy powitała go parafia chlebem i solą. Uroczystość intronizacyi rozpoczęła się dziś o godz. wpół do 9 rano tem, że cała gr. kat. kapituła z ks. arcybiskupem Morawskim i ks. biskupem Weberem wprowadziła ks. Kuiłowskiego, ubranego w szaty metropolitalne z pałacu do cerkwi św. Jura. Tu ks. metropolita odprawił pontyfikalną sumę. Przed ewangelią odbył się właściwy akt uroczystości: mianowicie odczytanie dekretów i wręczenie insygniów. Dekret cesarski i bullę papieską, mianującą ks. Kuiłowskiego metropolitą, odczytał po łacinie kanclerz kapituły ks. Krzyżanowski, a po rusku z ambony ks. kan. Bartoszewski.

Następnie podano ks. Kuiłowskiemu insygnia władzy metropolitalnej: krzyże arcybiskupie i pastorał, a ks. arc. Morawski włożył mu tzw. *palliusz*, tj. bardzo drogocenną podwójną wstążkę osobno w tym celu poświęconą. Po odprawieniu sumy, odbyła się msza pontyfikalna, podczas której śpiewał chór ks. kan. Redkiewicza. Po tej mszy około godz. 12-tej duchowieństwo obrządku łacińskiego odśpiewało *Te Deum*, poczem odbyła się cicha modlitwa, a nowy metropolita z tronu błogosławił zebranym. Następnie przemówił do ks. Kuiłowskiego imieniem kapituły

---

I usta wpiwszy w usta me,
Różanym wieńcem mnie krzewiem,
A jeśli ciebie masz zdradzić mnie,
Spraw niech ja o tem nie wiem.

Albo z satyr i humoresek epilog zbiorku wierszy, zatytułowanych „Poradnik dla nowo-rodków":

Rzuciłem ci tu wiązkę rad,
Z których możesz iść już w świat!
A choćby moja „chemia krwi"
Genjusza porządna ci,
Ty sobie z tego mało rób:
Do góry wąs, do góry czub!
Gdyś posiadł zdrowie, wdzięk i grosz,
To wsie ci pójdzie, wsie w *la poche*
I choćbyś głupim był jak but,
Otrąbią cię jak ósmy cud
I życie pójdzie ci jak z płatka,
Boś sobie umiał wybrać tatka.

Takich zabawnych konceptów jest mnóstwo w całym tomiku. Wiersze i całe wiersze, jak słynne opowiadanie o patryarsze Noem lub „Rozmowa pijaka z księżycem", żarcik dramatyczny pt. „Wąż, jabłko czy kobieta" lub „Dwa duchy". W tym ostatnim wierszu opisuje poeta walkę ducha dobrego i złego o posiadanie poety. W czwartej zwrotce tego wiersza, pisze Chochlik:

Zacietrzewieni w swojej walce
Gdy los mój w ich się warzył grze,
W czuprynę mi wtknęli palce,
I każdy mnie ku sobie rwie.
Więc gdy nie anioł tak w niebiosy
A dyabeł ciągnął z powrotem w dół,
W ich garści me zostały włosy,
Tak, żem jest łysy dziś jak dłoń.

Takimi dowcipami bawić się można doskonale, ale ktoby się chciał tylko bawić, ten dużą część zbiorku musiałby z góry wyeliminować z czytania. Zawiera on bowiem kilkanaście utworów refleksyjnych, w których ton jest poważny. Wesoły Chochlik zaznaczony ciągłem przerzucaniem z przedmiotu na przedmiot, w chwilach wypoczynku puszcza folgę swoim filozoficznym myślom nad tem, jak świat ten jest urządzony i jakby to najlepiej z tych urządzeń korzystać. W wierszach tych widać, że ciągłe bujanie Chochlika po rozmaitych stronach świata, dało mu dużo doświadczenia i że on skarby jego umie rozpoznawać i uznawać. Łatwo zrozumieć, że pesymizm, jako mniej krępowany, wyraźniej wydobywa się tu na powierzchnię. Ale praktyczna natura Chochlika i tu nie ginie. Jak tam, w wierszach wesołych zaznacza się smutek, tak tu od czasu do czasu, jak rakiety, strzelają w górę wybuchy chochlikowskiej natury. Nie możemy przytoczyć cytatów, gdyż wiersze tej kategoryi są długie, a wyrwane ze środka ustępy, straciwszy związek z całością, nie dałyby pełnego wrażenia. Zaznaczamy więc tylko, że są między nimi utwory bardzo piękne, a prym wiedzie między wszystkimi największy z nich pt. „Król Salomon". Pod obrazem Króla Salomona kryje się autor sam i opisuje stan swojej duszy, kiedy to odczuwa nicość życia i ucieka w objęcia Sulamitki, gdzie znajduje zapomnienie. Zaznacza on tam wprawdzie, że i to zapomnienie, te objęcia, to tylko złuda, ale praktyczny Chochlik godzi się z tą przykrością platoniczną, bo z niej ma wielkie rozkosze.

Jak więc widać z tego, z całego zbiorku wyziera oblicze okraszone pogodą, a choć tam podkład filozoficzny jest melancholijnym, to przecież forma, w jakiej się on wydobywa na zewnątrz, jest nadzwyczajnie przyjemna. Wykazaliśmy jak poeta przyjmuje wrażenia, potem jak je stosownie do swego temperamentu reprodukuje. Ta zgodność sprawia też, że proces ten powtarza się potem w czytelniku, jak gdyby poeta przelewał weń swoje chochlikowskie usposobienie. Dlatego nastrój, w jaki wprawia się czytelnik po przeczytaniu wszystkich wierszy zawartych w zbiorku, nie wyjmując i wierszy poważnych, jest ogółem przyjemny, tak przyjemny, jak przyjemnem musi być także w życiu usposobienie poety.

ks. kan. Bielecki, witając nowego arcypasterza i poruczając jego opiece ruskie duchowieństwo.

Ks. metropolita podziękował za powitanie, powiedział, że będzie służył wiernie gr. kat. Kościołowi, prosił kapitułę, aby popierała jego usiłowania i nawoływał naród do zgody. Krótką swą mowę zakończył ks. metropolita życzeniami „Mnohaja lita“ najpierw Ojcu św., potem Cesarzowi, potem Duchowieństwu i wszystkim obecnym. Za każdem życzeniem rozbrzmiewała z chórów pieśń „Mnohaja lita“ i pochylały się chorągwie. Potem jeszcze raz pobłogosławił wszystkich, i wyszedł z cerkwi w procesyonalnym pochodzie, kropiąc lud święconą wodą. Wchodząc do pałacu, pobłogosławił ks. metropolita zebranych po raz trzeci z gmachu na dole.

Do pałacu za ks. metropolitą udały się deputacye ruskich Towarzystw, w imieniu których przemówił dr. Szaraniewicz. Ks. Kuiłowski odpowiedział, prosząc o informacye co do stosunków lokalnych i obiecując zadość uczynić życzeniom towarzystw, o ile na to będzie jego stanowisko pozwalało.

Cała uroczystość odbyła się wogóle nadzwyczaj skromnie. Przyjęcia w pałacu nie było żadnego, żadni reprezentanci władz nie byli podczas intronizacyi obecni. Lud do połowy wypełnił cerkiew, duchowieństwa z prowincyi przybyło bardzo mało. Ks. arcyb. Issakowicz obecnym nie był, gdyż wyjechał do chorego Włodzimierza Dzieduszyckiego.

Komunikat. Od likwidacyjnego komitetu byłego Banku włościańskiego otrzymujemy następujący komunikat: Jakkolwiek komitet likwidacyjny Zakładu kredytowego włościańskiego przedkładał corocznie przez cały czas trwania likwidacyi Sądowi krajowemu, jako władzy kuratelarnej rachunki z likwidacyi i jakkolwiek sąd krajowy corocznie po wysłuchaniu zdania kuratora listów dłużnych i zbadaniu tych rachunków udzielał komitetowi absolutoryum, to jednak ze względu na rozpowszechniane wieści o rzekomych nieporządkach w rachunkach likwidacyjnych, postanowił komitet likwidacyjny na posiedzeniu dnia 12 września b. r., które się odbyło w obecności komisarza rządowego i kuratora listów, uprosić Namiestnictwo, aby przez komisarza rządowego, a przy pomocy sił fachowych zbadano ponownie te rachunki celem przekonania się, czy zarzuty co do nieprawidłowości w tych rachunkach są prawdziwe.

Zarząd główny Kółek rolniczych wybrał na swem onegdajszem posiedzeniu: prezesem posła Artura Cieleckiego, pierwszym wiceprezesem ks. mitrata Bieleckiego, drugim wiceprezesem prof. dr. Głąbińskiego, sekretarzem dyrektora Steczkowskiego, a kasyerem p. Ulmera.

Konkursa rozpisują: Magistrat m. Krakowa na sześć posad praktykantów konceptowych w XI randze z adjutum rocznem 800 złr. i prawem do dwóch pięcioleci po 100 złr.; termin do 31 października. — Wydział krajowy na stypendyum o rocznych 12 złr. z fundacyi Józefa Krupacza dla patentowanych inwalidów wojskowych, chrześcijan, urodzonych w m. Żółkwi. Termin do 31 grudnia. — Prezydyum sądu wyższego we Lwowie na posady woźnych sądowych w Przemyślu i Dornie, oraz na jedną posadę dozorcy więźni w Tarnopolu, a na cztery nowokreowane w Stanisławowie. Termin do 16 października.

Pożary. W powiecie dąbrowskim, w Kłyżu i Dyamencie, spaliły się wszystkie gumna i stodoły ze zbożem i sianem. Pożar powstał od pioruna. Również z tej samej przyczyny zapalił się w Kańczudze dom p. Markiewicza, a ogień przeniósł się także na sąsiednie budynki gospodarcze i stodoły i spalił je, wyrządzając szkodę na przeszło 15.000 złr.

Okradzenie dr. Ziembickiego. Przed tygodniem lekarz lwowski dr. Ziembicki poniósł znaczną stratę, gdyż kucharz jego, Lemański, skradł mu wiele kosztowności i umknął. Złodzieja przytrzymano w poniedziałek w Cieszanowie. Zdradził się on w ten sposób, że wstąpiwszy tam do sklepu p. Czajki, wysłał chłopca sklepowego do żyda, z laską o srebrnej rączce i z tytonierką, wysadzaną brylantami, aby je spieniężył. Panu Czajce wydała się cała rzecz podejrzaną, więc zawiadomił o tem żandarmów, którzy podczas rewizyi u Lemańskiego znaleźli w rękawie u niego zaszytych dużo kosztowności, skradzionych p. Ziembickiemu.

Do władzy podatkowej. Piszą nam: Wczoraj, dnia 13 września, otrzymałem wymiar podatku osobisto-dochodowego. Z objaśnień na tym arkuszu zamieszczonych dowiaduję się jednak ku niemałemu przerażeniu, że podatek ma być zapłacony w dwóch ratach, a mianowicie dnia 1 czerwca i dnia 1 grudnia pod grozą egzekucyi i opłaty procentu zwłoki. Widocznie więc władza podatkowa żartuje sobie z ustawy, której odnośne paragrafy o egzekucyi i procentach zwłoki przytacza na nakazie zapłaty, bo jakżeż można zapłacić 1go czerwca ratę podatkową, gdy dopiero w $3\frac{1}{2}$ miesiąca otrzymuje się wymiar podatku. Sądzę więc, że wymiar ten należałoby w interesie powagi ustawy, uchwalonej przez Radę państwa i sankcyonowanej przez Monarchę, przesyłać kontrybuentom najpóźniej w maju, ażeby oni postanowieniom ustawy mogli odpowiedzieć.

Druga jeszcze sprawa z tym podatkiem leży mi na sercu. Oto arkusz z wymiarem otrzymałem w dwóch egzemplarzach i dwiema drogami; jeden nadesłano mi do domu, a drugi przesłano dla mnie przedsiębiorcy, u którego pracuję. Przedsiębiorca potrzebuje tego wymiaru, bo ma obowiązek ściągnąć mi z płacy kwotę, należną za podatek i w kasie zapłacić. Po cóż więc ten drugi egzemplarz? Nie wiem, czy to przepis ustawy, ale zdaje mi się, że może płaciłbym podatku mniej, gdybym tego drugiego egzemplarza nie dostał, bo rząd miałby mniej wydatku na druki, na pisarzy, którzy je wypełniają, i na posłańców, którzy przynoszą go do mieszkania kontrybuenta. *Podatnik.*

Marconi. Dzienniki lwowskie donoszą, że dyrekcya opery warszawskiej zdołała zaangażować na sezon operowy, rozpoczynający się 1 października słynnego tenora Marconiego, najznakomitszego reprezentanta szkoły włoskiej w śpiewie. Marconi jest milionerem, posiada prześliczną galeryę obrazów i rzeźb, a także jeden z najcenniejszych w Europie zbiór starożytności. Od paru lat nie występuje wcale, lub tylko na cele dobroczynne, albo wtedy, gdy chce komuś zrobić przyjemność, i tak np. podczas tegorocznego kongresu w Rzymie zgłosił się sam do prezydyum kongresu z propozycyą, że chce śpiewać na galowem przedstawieniu dla dziennikarzy, aby im okazać swą wdzięczność za to, że go zawsze tak chętnie popierali. Skoro jednak teraz dał się nakłonić do śpiewania przez cały sezon w Warszawie, to możeby się zgodził przyjechać do Lwowa dla dania paru koncertów. Podsuwamy więc tę myśl dyrekcyi Towarzystwa muzycznego, a znając jej gorliwość w urządzaniu doskonałych w sezonie zimowym koncertów, i jej zabiegi o to, aby publiczność lwowską zapoznać z najznakomitszymi wirtuozami Europy, sądzimy, że przy dobrej woli zdoła ona nakłonić tego niezrównanego śpiewaka do odwiedzenia naszego grodu.

Feljeton o Zakopanem pióra p. Alfreda Szczepańskiego, zamieścił w tych dniach urzędowy dziennik wiedeński *Wiener Zeitung*. Nazwisko autora już samo świadczy o tem, że fejleton napisany jest zajmująco i ze znajomością rzeczy, a nie mała w tem dla nas korzyść, że publiczność niemiecka w tak poważnym organie o uroczem naszem uzdrowisku poinformowaną i dlań życzliwie usposobioną została. Fejleton ten skłonił już dwóch ministrów do tego, że przyobiecali przyjechać na otwarcie kolei żelaznej do Zakopanego.

Nafta w Kosmaczu. Na terenie naftowym w Kosmaczu, należącym do firmy Wolski i Odrzywolski, a będącym w sekwestracyi gal. Kasy oszczędności, wybuchnęła wczoraj bardzo obficie ropa.

Automobile w armii. Już od kilku miesięcy odbywają się z polecenia ministerstwa wojny próby posługiwania się samochodami w celach wojskowych. W tym roku odbędzie się taka próba podczas cesarskich manewrów w Karyntyi. Do 14 korpusu, który w tych manewrach weźmie udział, przyłączonym zostanie automobil systemu Deimla, który z ciężarem 3000 kilogramów przebyć ma grzbiet Alp tauryjskich koło Taunsweg. Jeżeli próba się uda, to przydatność automobilów dla celów wojskowych będzie udowodnioną, wobec tego, że taki samochód ciężarowy przewiezie po tak stromych drogach jak alpejskie, ciężar, na którego przewiezienie potrzebaby siedmiu do ośmiu wozów i zaprzęgów, używanych przez ludność miejscową. Dalsze próby będą miały na celu zbadanie, czy automobile dadzą się użyć do tego, żeby przewozić żywność i broń i inne potrzeby za większymi oddziałami wojsk. Oprócz samochodów ciężarowych, próbowano w tegorocznych manewrach samochody do przewożenia osób dla przekonania się, czy w przyszłości będzie je można używać do służby rekonesansowej i przenoszenia rozkazów.

Korneliusz Vanderbilt, amerykański tzw. król kolejowy i jeden z największych milionerów świata umarł onegdaj w Nowym Yorku. Ojciec jego, który zmarł w Nowym Yorku w roku 1885 i pozostawił mu majątek 70 — 100 milionów dolarów, był z początku swojej karyery finansowej, ubogim farmerem pochodzenia holenderskiego. Rozpoczął on ją jako handlarz owoców na targu nowojorskim. Podczas wojny z Anglią od r. 1812 — 1814 zajął się dostawą żywności dla kilku twierdz w portach amerykańskich. Zdobyte tu fundusze pozwoliły mu już w następnych latach prowadzić rozgałęziony handel nadbrzeżny. Niebawem przedsiębiorca linii okrętowej, łączącej Nowy York z Filadelfią postawił go na czele swojego przedsiębiorstwa a w dziesięć lat potem posiadał Vanderbilt już własną linię okrętową. Zwiększając ją nieustannie, doszedł on w roku 1857 do tego, że posiadał już 100 własnych okrętów pasażerskich. Równie dopisało mu szczęście w przedsiębiorstwach kolejowych. Kupował on istniejące już linie kolejowe lub budował nowe, tak, że w chwili śmierci swojej był już posiadaczem kilkunastu najrentowniejszych przedsiębiorstw kolejowych. Syn jego, który umarł onegdaj w 56 roku życia poszedł dalej drogą wytkniętą przez ojca i sprytnymi operacyami doprowadził do tego, że sześciokrotnie pomnożył odziedziczony po ojcu majątek. Zmarły przybywał za życia często do Europy własnym yachtem i spędzał sezony letnie w europejskich zdrojowiskach, gdzie jednak nigdy nie otaczał się przepychem, jakiego by się można było spodziewać po takim Krezusie. Ostatnie lata życia zamącił mu syn który wbrew tradycyom milionerów amerykańskich, łączących się związkami małżeńskimi przeważnie pomiędzy sobą, ożenił się z biedną aktorką i ściągnął tem na siebie niełaskę szefa domu Vanderbiltów.

Wściekłe psy. W Ottynii — jak stamtąd piszą do *Diła* — włóczy się kilka wściekłych psów; pokąsały one już dziesięć osób, z których dwie musiały wyjechać na kuracyę do dr. Bujwida. Charakterystycznem jest, że psy te pokąsane zostały przez psa należącego do tamtejszego weterynarza.

Nieprzyjemny wyraz. W Szamotułach w Poznańskiem na bankiecie z okazyi uroczystości na pamiątkę bitwy pod Sedanem przemawiał między innemi pewien Polak, jako były uczestnik tej walki. Otóż gdy Polak ów wspomniał o „polskich pułkach“, do których należał podczas wojny 1870/71 r., przewodniczący usłyszawszy nieprzyjemny dlań wyraz „polnisch“, odebrał głos przemawiającemu, a ze wszystkich stron poczęto go łżyć. Wywiązała się stąd bójka, w której rezultacie wielu biesiadników powróciło do domów z sińcami i guzami.

Rosyjska Gazeta Sądowa donosi, iż pewna liczba drobnej szlachty polskiej udała się do generał-gubernatora kijowskiego z prośbą o pozwolenie nabycia parcel gruntowych, nie wynoszących więcej nad 60 dziesięcin (około 115 morgów), a to w myśl ukazu cesarskiego z 16 marca 1899 r. Generalny gubernator kijowski generał Dragomirow wszystkie te podania przychylnie załatwił.

Słoń afrykański wyginie, według zapewnień długoletniego łowcy słoniów Edwarda Foa, jeżeli obecny system tępienia tych zwierząt przez handlarzy kością słoniową potrwa jeszcze lat trzydzieści. W ostatniem stuleciu znajdował się jeszcze w całej Afryce z wyjątkiem Egiptu, Tripolisu, Berberu i Sahary, a w starożytności wszędzie aż do morza Śródziemnego; dzisiaj znaleźć go można zaledwie na dziesiątej części tej przestrzeni, w Katanga, przy źródłach Zambezi, nad górnym Nilem, nad jeziorami Wiktorya Nyanza i Czad, wreszcie w niektórych okolicach Sudanu. Podobnie jak w Indyach i Afryce mógłby słoń służyć jako juczne zwierzę domowe i oddawałby jeszcze większe usługi, albowiem ludzi często brak a dróg utorowanych nie ma. Jeden słoń może zastąpić 64 tragarzy. — Wartość słonia oswojonego jest dziesięć razy większa niż kości słoniowej, dla której go zabijają, a którą można doskonale otrzymać z takiego zwierzęcia oswojonego. Trudność wielka polega tylko na tem, że słoń w niewoli się nie rozmnaża. W Indyach ustanowiona jest ochrona dzikich stad, dla zapewnienia potomstwa, a Indusi łatwo poddają się tym przepisom, gdyż religia wzbrania im zabijać nieszkodliwe zwierzęta. Murzyni afrykańscy zaś, którzy wkrótce będą wszyscy zaopatrzeni w broń, tępią słonia niemiłosiernie, poznawszy wartość jego kości w handlu z białymi, a Edward Foa proponuje zwołanie kongresu międzynarodowego dla obmyślenia środków zaradczych.

Ibsen, Björnson i król Oskar. Podczas przedstawienia galowego z powodu otwarcia narodowego teatru w Chrystyanii, ogólną uwagę zwracało, że Björnson i Ibsen, siedzący w jednej loży, nie zamienili ze sobą ani słowa. Pomimo, że łączy ich ściśle powinowactwo — młody Sygurd Ibsen ożeniony jest z córką Björnsona — nie utrzymują ze sobą wcale stosunków, a niechęć wzajemna jest tak wielką, że Ibsen nie był nawet na weselu swojego syna. Zauważono również, że król Oskar, obecny na pierwszych dwóch przedstawieniach, na których dawane były utwory Holberga i Ibsena, przed trzeciem widowiskiem, zapowiadającem sztukę Björnsona „Sygurd Jorsalfar,“ opuścił Chrystyanię. Pomiędzy królem a dramaturgiem panuje także rozdźwięk, nietylko z powodu działalności politycznej Björnsona, lecz jeszcze ze względu na jego sztukę p. t. „Król,“ która dotknęła żywo monarchę.

Stan powietrza. T. o. g. 7 rano +9, w poł. +12 R. Bar. 761. Nieruchomy. Pochmurno.

Teraz, albo nigdy! (Monolog).

Teraz albo nigdy! Oświadczę się stanowczo Anieli. Wyznam jej gorącą miłość, a jeśli mi odmówi, pal ją kaci, ożenię się z Klarą, bo obie przecież mają posag jednakowy...

(*Wesoły Kuryerek*).

Z aeoronautyki.

P. Safandulski stanowczo twierdzi, że aeronautyce dla tego nie udało się dotąd rozwiązać zagadki kierowania balonem, że do tego nie wzięły się kobiety.

— Niechby to, panie dobrodzieju — powiada — zabrała się do balonu moja magnifika, jużby ona nim umiała pokierować.

Repertuar teatru hr. Skarbka: Dziś we czwartek po raz 1-szy „Miejsca kobietom“, krotochwila w 4 aktach Hennequina i Valabregue. W piątek „Miejsca kobietom“. W sobotę pierwsze przedstawienie operetki po powrocie z Warszawy „Orfeusz w piekle“, czarodziejska opera komiczna w 4 aktach Jakóba Offenbacha. W niedzielę po południu „Dom otwarty“, komedya w 3 aktach Michała Bałuckiego, wieczorem „Orfeusz w piekle“. W poniedziałek „Miejsca kobietom“.

Głosy publiczności.

Wykaz składek nadesłanych na budowę kościoła w Korościatynie: Józef i Marya Wolgnerowie w Komarówce 400 złr., N. N. z Krosna 1, ks. Halig z Bursztyna 1, Joanna Limanowska z Telaczego 2, urząd parafialny w Podkamieniu ad Brody 2, ks. Sigmund z Barysza 5, Kasa oszczędności m. Stanisławowa 25, ks. Mielichowicz z Milatyna 5, ks. Szamota z Kowalówki 2, ks. Chęciński ze Lwowa 1, J. K. z Łuki 0·50, ks. Andrzejowski ze Skały 3, ks. Twardowski ze Lwowa 2, ks. Jastrzębski z Otynii 2, ks. Motykiewicz z Brzozdowiec 1·50, ks. Głębocki z Czerwonogrodu 2, Jan Pelich z Koropca 10, Wydział Rady powiatowej w Stanisławowie 25, ks. Krulicki z Kukizowa 1, konwent OO. Dominikanów w Jezupolu 2, Wydział Rady powiatowej w Lisku 5, ks. Adamczyk z Tłustego 1, Helena Schalerowa 2, ks. kan. Leon Wałęga ze Lwowa 10, Sokołowski z Monasterzysk 10, Moczytowski z Załucza ad Śniatyn 1·10, Fedak z Monasterzysk 1, Wydział Rady powiatowej w Samborze 5, Franciszek Pituła z Siekierzyniec 1, Józef Majewski z Sambora 5, Wydział Rady powiatowej w Tarnobrzegu 10, Wydział Rady powiatowej w Jarosławiu 5, gmina Folwarki ad Monasterzyska 6·28, Wydział Rady powiatowej w Buczaczu 100, ks. Ożga od właścicielki N. N. 10, ks. Kochański 5, ks. Ożga po kolędzie 127·35, ks. Ożga po kolędzie w Komarówce 7·65, Wydział Rady powiatowej w Tarnopolu 10, N. Krzysztofowa z Monasterzysk 5, Sozańska właścicielka dóbr z Szwejkowa 10, Józefina Gabrysi z Monasterzysk 50, ks. Łaś z Niżniowa 16·32, Redakcya *Przeglądu* 6, Witwicki z Oleksic 4, Worona 5, Krano z Niżniowa 1, Kwaszyński ze Lwowa 2, Henryk Sanojca kapitan 5.50, Manusia Wolgnerówna z Komarówki 0.50, gra w karty w Komarówce 2·85, Dyrekcya kolejowa w Stanisławowie 100, składka ks Jakóba Nowobielskiego 20, rz.-kat. konsystorz 1500, krakowskie Towarzystwo ubezpieczeń 50, radczyni Majerowa z Potoka złotego ze sprzedaży książeczek WP. starosty Niewiadomskiego 30, radczyni Majerowa ze składki na polowaniu w Hubinie 3·58, Adam Kaczurba z przedstawienia w Buczaczu 10, Jan Bołoz Antoniewicz prof. uniwersytetu 10, M. Tyszkowska z Malinowa ad Świeże przez ks. Wawrzyńca Ożgę 50, gmina Korościatyn 600 Ludwik Uhle podpułkownik 58 p. p. 5, dr. Paulo lekarz pułkowy 1, Sauek kapitan obrony krajowej 1, Pribil nadporucznik 58 p. p. 1, ze składki ks. Wawrzyńca Ożgi przez ks. Jakóba Nowobielskiego 17·50, Józef Grekowicz inżynier w Buczaczu 5, Wanda Stojowska w Buczaczu 5, dr. Izydor Auschutt adw. kraj. 10, Julian Br. Błażowski z Czeremchowa 6.20, Maryan Br. Błażowski z Nowosiółki 10, Karol Podlewski z Chomiakówki 10, Czerski z Buczacza 0·50, ks. Teodor Telakowski z Buczacza 0·50, radczyni Majerowa jako dochód z przedstawienia w Potoku złotym 50, Józefina Gabrysi z Monasterzysk za 15 książeczek 30, ks. Jan Proskurnicki z Koropca 2, Kornblüh z Wyczółek 60, N. N. 100, Albin Słonecki z Zadarowa 300, Eugenia Hölzelhuberowa 1, ks. Tomasz Tolpa 1, ks. Edward Borawski 10, Weronika Wrzak z Koropca 1, Felicyan Pintowski nadinżynier Wydziału krajowego 1, Majer Forten z Buczacza 1, Marya Millond 4, ks. Jakób Nowobielski ze sprzedaży książeczek cegiełkowych 11·50. Razem 3937 złr. 33 ct.

Komitet budowy kościoła w Korościatynie: *Dr. Czesław Niewiadomski* m. p., ck. starosta jako przewodniczący. *Ks. Jakób Nowobielski* m. p., jako kontrolor. *Józef Wolgner* m. p., właściciel Komarówki, jako sekretarz i Skarbnik.

Z izby sądowej.

Lwów, 14 września.

(*Podpalenie*).

Oskarżonym o podpalenie chałupy Kisilowej w Sieniawce parobkom Semkowi Bździuchowi i Mikołajczukowi Sawce nie udało się dowieść swojego *alibi*, wskutek czego sędziowie jednogłośnie potwierdzili ich winę, a trybunał skazał Bździucha na 4 lata a Sawkę na 3 lata ciężkiego więzienia.

* * *

Tarnów, 13 września.

(*Podwójna buchalterya*).

Przed tutejszym sądem przysięgłych toczyła się od 7 do 10 b. m. 4-dniowa rozprawa przeciw Hirszowi Wandsteinowi, kupcowi z Tarnowa i jego buchalterowi Eliaszowi Hollandrowi, oskarżonym o zbrodnię sprzeniewierzenia i oszustwa. Ofiarą zbytniego swego zaufania padł J. Dworsky, kupiec z Mistek (na Morawach), który przez szereg lat powierzał Wandsteinowi w komis towary bławatne. Doszło do tego że obecna strata komitenta przenosi 20.000 złr.

Genialnym pomocnikiem defraudanta był Hollander, prowadzący księgi sklepowe. Buchalterya jego polegała na tem, że w osobnych zapiskach mieściły się prawdziwe daty przeznaczone dla Wandsteina i jego odbiorców, a osobno utrzymywano na pozór bardzo wzorowo księgi przedsiębiorstwa komisowego przeznaczone do długoletniego tumanienia Dworsky'ego, który też istotnie aż do czerwca b. r., t. j. do czasu rozwiązania stosunku komisowego, sądził w najlepszej wierze, że ma u odbiorców do żądania takie kwoty, jakie mu wykazywały księgi Wandsteina. Wrażeniami odniesionemi z przykrego rozczarowania zmuszonym był podzielić się z prokuratorem.

Przesłuchanie z górą 80 świadków wykazało, iż system buchalteryczny Hollandra był dziełem mrówczej pracy i zadziwiającej zręczności.

Żmudną rozprawą kierował energicznie a wyczerpująco p. radzca Windakiewicz, Wandsteina bronił adwokat dr. M. Gałecki, Hollandra dr. E. Goldhammer, — oskarżał zastępca prokuratora p. Mossor, poszkodowanego zastępował adwokat dr. Tertil.

Obrońcy starali się całą siłą argumentów obalić oskarżenie przynajmniej w kierunku oszustwa, utrzymując, że fałszowanie ksiąg zmierzało tylko do zatarcia śladów sprzeniewierzenia, a nie było samoistnem przestępstwem — atoli oskarżyciel publiczny dopatrzył się w podwójnej buchalteryi, uprawianej przez podsądnych, czegoś więcej — i w dobitnem przemówieniu wykazał, że fałszywe zapiski, podtrzymujące poszkodowanego w błędzie co do stanu interesu, miały na celu wyłudzenie dalszego zaufania i wyrządzania dalszej szkody.

Pytanie co do sprzeniewierzenia potwierdzili przysięgli 12-ma głosami zaś co do oszustwa 11 głosami — a Trybunał wymierzył karę przykładną: dla pryncypała 7 lat, zaś dla „Wunderkopfa“ buhaltera (jak go nazwał poszkodowany), 3 lata ciężkiego więzienia.

Sport

W dalszym ciągu zjazdu wyścigowego w Baden-Baden wiodło się nieco lepiej koniom austro-węgierskim. Wprawdzie wielką nagrodę Badeńską, puhar złoty i 100.000 marek, meta 2400 mtr. wygrał koń francuski hr. de Juigné'go „Gobseck“, a bar. G. Springera „Galifard“ (drugi w Derby austryackiem) był przedostatni, ale za to bieg myśliwski: Saida-Steeple Chase wygrała stada Miklosfalva klacz szpakowata „Hableany“.

W biegu o nagrodę Karlsruhe bar. Springera 3-letni ogier gniady „Almaviva“ był trzecim, a p. Wahrmanna 3-l. „Dominik“ ostatnim.

W Badeńskiej nagrodzie ks. Walii wygrał p. A. Drehera 5-l. gniady ogier „Tip-Top“, a p. Wienera von Welten 6-l. ogier kaszt. „Gomba“ był trzecim.

Nagrodę „Chamant“ dla koni dwuletnich wygrał hr. T. Festeticsa gniady ogier „Attila“, zaś wielki Badeński bieg myśliwski o nagrodę 25.000 marek wygrała znowu stada Miklosfalva klacz szpak. „Hableany“.

Ogółem wygrały ze stajen austro-węgierskich: stado Miklosfalva 26.150, p. A. Drehera 19.400, hr. T. Festeticsa 7.000, br. G. Springera 2.500, p. R. Wahrmanna 1.050, p. Wiener von Weltena 900 marek.

* * *

Ba. H. Königswartera 3-letni ogier „Pardon“, zwycięsca tegorocznego austryackiego Derby, wskutek naciągnięcia ścięgna został wycofany ze wszystkich biegów, do których był zapisany w austro-węgierskiej monarchii.

* * *

Hrabina Ewa z Boguckich Korytowska kazała urzędownie zapisać swoje kolory wyścigowe: kurtka w poprzeczne pasy czarne i czerwone, czerwone rękawy i czapka ze złotą frędzlą.

Część ekonomiczna.

§ Z kolei. Z dniem 15 września r. b. wchodzi w życie na szlaku Czerniowce-Nowosielica c. k. austr. kolei państwowych w miejsce obecnie obowiązującego nowy rozkład jazdy. Nowy rozład jazdy ogłoszony został afiszami.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

Wiedeń 14 września. Jak dzienniki donoszą prezydent Izby posłów dr. Fuchs został wczoraj w południe przyjęty przez Cesarza na osobnej audyencyi.

Konferencya przewodniczących klubów lewicy zwołaną została na 22 b. m.

Wiedeń 14 września. *Fremdenblatt*, omawiając proces belgradzki, podnosi, że dowody, którymi dotychczas starano się poprzeć oskarżenie, były albo bardzo słabe, albo wcale właściwie dowodami nie były. Nienawiść radykałów przeciw Milanowi jest już oddawna znaną; trzeba jednakże dowieść, że oskarżeni rzeczywiście zamierzali dokonać czynów gwałtownych. W całej Europie wywołałoby to okrzyk oburzenia, gdyby w Belgradzie bez przekonywujących dowodów spełniono fakt, który nie dałby się później już zmienić. Także na wewnętrzną sytuacyę Serbii musiałby fakt taki oddziałać niekorzystnie. Zasądzenie na śmierć kilku przywódców stronnictwa radykalnego nie wykorzeni jeszcze tendencyj radykalnych w kraju. Serbia nie powinna niszczyć dzieła politycznej i ekonomicznej konsolidacyi, które w ostatnich latach się rozpoczęło.

Pretorya 14 września. „Biuro Reutera“ donosi: Ostatnią depeszę Chamberlaina odczytano wczoraj po południu w Volksraadzie w obecności prezydenta Krugera i członków rady wykonawczej; depesza żąda odpowiedzi w przeciągu 48 godzin. Sekretarz stanu Reitz zapytany o opinię, oświadczył, że nie uważa jeszcze sytuacyi za zupełnie beznadziejną.

Frankfurt (nad Menem) 14 września. Wedle *Frankfurter Ztg.*, nota rządu angielskiego, wysłana do rządu transwaalskiego, odpiera zapatrywanie, jakoby Transwaal mógł rościć sobie pretensye, aby go uznawano za niepodległe państwo. To też Anglia nie weźmie pod rozwagę żadnej takiej propozycyi, któraby byłaby wynikiem podobnego zapatrywania. Nota uważa propozycye Transwaalu z marca 1899 za niedostateczne, domaga się bezzwłocznej i stanowczej odpowiedzi. Na wypadek, gdyby odpowiedź ta była odmowną lub wymijającą, zastrzega sobie rząd angielski prawo rozważenia sytuacyi z nowego stanowiska i wystąpienia z własnemi propozycyami.

Monachium 14 września. Z powodu ulewnych deszczów, komunikacya kolejowa stąd do Salcburga i Tyrolu będzie przerwana prawdopodobnie dni kilka.

Miejski zakład dla wytwarzania elektryczności zalany, skutkiem czego przerwano oświetlanie miasta elektrycznością.

Izar 14 września. Rzeki górskie w górnej Bawaryi ciągle wzbierają — deszcz trwa bez przerwy.

Linc 14 września. Tamy pod Kleinmuenchen przerwane; most na rzece Traun uniosła woda, wszędzie wylewy sporządziły wielkie spustoszenia. Kohlstadt w największem niebezpieczeństwie, kilka domów runęło.

W Ischl wszystkie mosty na rzece Traun zniszczone; dla niesienia ratunku wysłano stąd pionierów. Gmunden całe pod wodą, położenie tam rozpaczliwe.

Wiedeń 14 września. Podług doniesień z górnej Austryi, Salzburga i Bawaryi, zagraża tym krajom z powodu nieustających deszczów niebezpieczeństwo powodzi. Rzeki i potoki górskie wystąpiły z brzegów. W wielu miejscowościach linie kolejowe i połączenia telegraficzne przerwane. Także w Wiedniu woda Dunaju znacznie się podniosła, dotychczas miastu nie zagraża jednak żadne niebezpieczeństwo

Salzburg 14 września. Miasto i okoliczne miejscowości zalane wodą. Wojsko niesie pomoc mieszkańcom. Dziś sytuacya polepsza się nieco; z nastaniem pogody woda poczyna opadać.

Wiedeń 14 września. Jak donoszą z Neukirchen, woda zerwała most na rzece Szwarcawie (Schwarzafluss) w pobliżu Feuerbachu. Według doniesień dzienników, wylewy pochłonąć miały 20 osób.

Monachium 14 września. Wskutek podmulenia wodą, zawalił się most kolejowy na Izarze koło Mühldorfu w chwili, gdy przejeżdżał pociąg kolei żelaznej. Lokomotywa i wagony znajdują się 3 metry pod wodą. Według opowiadania budnika pociąg (prawdopodobnie towarowy) nie miał podróżnych. Sześciu funkcyonaryuszy kolejowych, dwóch dróżników i jeden włościanin zginęli.

Praga 14 września. Mołdawa poczyna opadać. Niebezpieczeństwo powodzi ustąpiło.

Hlas Naroda ogłasza dziś artykuł w sprawie sytuacyi, wyrażając nadzieję, że sytuacya się polepszy i interwencya dra Fuchsa osiągnie skutek i położy koniec klęskom ekonomicznym, jakie sprowadza na kraj obecne położenie polityczne.

Gmunden 14 września. Wskutek tego, iż deszcze, onegdaj ulewne, już ustały, nastąpiło dziś znaczne obniżenie stanu wód.

Oporto 14 września. Zaszedł tu znowu jeden wypadek dżumy.

Londyn 14 września. Jak donosi *Times* z Pretoryi w sprawie wymiany not między Anglią a Transvaalem, rząd angielski nie będzie napierał na niezwłoczne załatwienie odpowiedzi na ostatnią notę, lecz zgodzi się na przedłużenie 48 godzinnego terminu, jaki dał rządowi transvaalskiemu, aby tylko jak najbardziej ułatwić porozumienie.

Karlsruhe 14 września. Sekretarz stanu hr. Buelow udał się na Semering.

Paryż 14 września. „Ajencya Havasa“ donosi: Jest możliwe, że komisarz rządowy wojskowego trybunału rewizyjnego ukończy referat swój w sprawie rekursu Dreyfusa jeszcze przed przyszłym poniedziałkiem, tak, że trybunał rewizyjny w poniedziałek będzie mógł powziąć ostateczną uchwałę. Rząd w takim razie odbyłby nazajutrz, tj. we wtorek, radę gabinetową w sprawie ewentualnego ułaskawienia Dreyfusa.

Minister wojny zreformował sekcyę statystyczną sztabu generalnego w ten sposób, że służyć ona będzie odtąd celom czysto militarnym. Nie będzie więc odtąd wykonywać ani służby policyjnej ani wywiadowczej.

HOTEL FRANCUSKI

Ludwika Stadtmüllera.

Przyjechali dnia 14 września. Władysława Ordon Rybicka artystka dramatyczna z Łodzi, Paweł Bogucki z Warszawy. F. Hoffmann z Budapesztu. P. Wydżgowa z Wołynia. N. Geister z Neusalz (z nad Odry). J. Weilinger z Wiednia. J. Stadler z Hellenstein. P. Plach z Żółkwi. Br. Karol Malawski z Żołczowa. E. Mikita z Oleszyc. P. Poreckie z Podola. J. Liskowicz z Sokala. J. Bergman z Paryża. P. Zwolski ze Schodnicy. Br. Wattmanowa z Rudek. L. Klein z Monachium. L. Steckhammer z Londynu. Por. Żakiej z Wybranówki. R. Panowsky z Czerniowiec. R. Geisler z familią z Warszawy. E. Eisler z Wiednia. E. Sutter z Biały. K. Böhmlander z Ołomuńca.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów 14 września. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 210·50 do 212·50 Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 282.50 do 287·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 372.— do 379 —. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 253 — do 258 —. Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 197·00 do 200·00.

Listy zastawne za 100 złr. Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem 110.00 do 110·70 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·00 do 100·70, 4 proc. los w 60 lat 96·50 do 97·20 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 61 lat 100·20 do 100·90 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·00 do 97·70. — Tow. kred. gal ziemskie 4 proc (I emisyi) 96·50 do 97·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 96·50 do 97·20, 4 proc. los w 56 lat 93·50 do 94·20.

Obligi za 100 zł., Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97·10 do 97·80. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —·—. Kom Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·00 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·00 do 97·70. Pożyczki kraj. 5 proc. 103·00 do —·—. 4 proc. z 1893 r. 96.00 do 96·70, 4 proc. po 200 koron z 1898 roku 93·10 do 93·80.

Monety. Dukat cesarski 5·66 do 5·76. Napoleondor 9.53 do 9·63. Rubel rosyjski papierowy 127·20 do 128.20 100 marek niemieckich 58·70 do 59·15.

Berlin 14 września. (Zamknięcie giełdy). Banknoty austryackie 169·60. Spirytus 43·40.

Paryż 14 września. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100·92. Mąka („Fleur de Paris“) 26·15.

Frankfurt 14 września. (Wczorajsza giełda wieczorna). Kredyty austryackie 236·80; kolej państwowa 000·00; alpiny 000·00, disconto 191·10; laura 257·20.

72)

OPĘTANI

POWIEŚĆ

MATYLDY SERAO.

(Ciąg dalszy).

Kabaliści odkłonili mu się obojętnie Żaden z nich nie tłómaczył się z wyrządzonej mu krzywdy, każdy myślał nad udzieloną sobie radą.

Gdy więzień stanął na progu drzwi, obejrzał się i odetchnął powietrzem świeżem, a oczy jego zaszły łzami.

Don Gennaro sprowadził Pasqualina po schodach, lecz nie podał mu ramienia z obawy dotknięcia się jego brudnego ubrania.

— Myślałem, że już nie wyjdę stamtąd — rzekł, wsiadając do dorożki.

— Dokąd pan chcesz jechać? — zapytał Parascandalo.

— Do komisarza policyi.

Don Gennaro lekko namarszczył brwi i ażeby nie zwrócić na siebie uwagi przechodniów, kazał podnieść budę. Udali się na ulicę Concenzione.

— Chcesz pan wnieść skargę na nich? — zapytał don Gennaro.

— Pan nie wie, jak oni mnie dręczyli — odrzekł assistito. — Przez trzydzieści dni trzymali mnie w pokoju pozbawionym czystego powietrza.

— Dla czego nie dałeś im pan numerów?

— Dlatego że...

— Że pan sam nie znałeś ich! — śmiejąc się dokończył don Gennaro.

— Cóż to pana obchodzi?

— Nic nie obchodzi mnie. Lecz ze mną możesz pan być szczerym.

— Rzeczywiście — pokornie odrzekł assistito. — Lecz za co oni mnie tak dręczyli? Co ja im uczyniłem złego?

— Wyłudziłeś pan od nich wiele tysięcy lirów — śmiejąc się, mówił don Parascandalo.

— Była to jałmużna, cavalero mio, jałmużna!

— Rzeczywiście jałmużna? — szydził don Gennaro. — W takim razie niema potrzeby jechać do komisarza policyi.

— Jedźmy, don Gennaro, będziesz pan ze mnie zadowolony.

Zatrzymali się przed wielkim gmachem przy ulicy Concenzione, przed którym snuli się policyanci. Pasqualino z trudnością przebył schody i wszedł ze swym towarzyszem do gabinetu komisarza.

— Don Pasqualino Feo pragnie złożyć deklaracyę — rzekł lichwiarz do komisarza.

— Słucham pana — odrzekł urzędnik.

— Chciałem dowiedzieć się, czy nie zawiadamiał kto o mojem zniknięciu.

Komisarz wziął grubą księgę i zaczął ją przeglądać.

— Przychodziła pani Chiara Stella de Feo, zamieszkała przy ulicy Centograde, małżonka Pasqualina de Feo i złożyła deklaracyę o zniknięciu jego, zapewne wskutek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku.

— Nie było żadnego wypadku — z uśmiechem oświadczył assistito.

— Objaśniła przytem, że jacyś ludzie już raz pochwycili pana i trzymali w ukryciu.

— Diaczego mianoby mnie chwytać i ukrywać?

— W celu wymuszenia numerów loteryjnych.

— Moja żona powiedziała, że ja wiem numera wygrywające?

— Proszę nie wierzyć temu, panie komisarzu, to plotki — śmiejąc się rzekł Parascandalo.

— Ażeby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień, przyszedłem oświadczyć, że podczas pobytu mego w willi pana Parascandalo, Palma Campania, zachorowałem; a ponieważ zdawało mi się, że będę mógł wrócić lada dzień, więc wstrzymywałem się z powiadomieniem żony o mej chorobie.

— Czy tak było rzeczywiście? — obojętnie zapytał komisarz pana Parascandalo.

— Rzeczywiście.

— Więc bardzo dobrze. Podczas choroby swej Feo zapewne dał panu numera? — zapytał komisarz.

— Naturalnie — potwierdził don Gennaro.

— Po co one panu? Gdyby dał nam, ubogim urzędnikom, to rozumiem...

— Don Pasqualino, jeżeli możesz, daj kilka numerów panu komisarzowi.

— Czy pan żartujesz?

Po wyjściu z biura komisarza policyi, don Pasqualino zapytał swego towarzysza:

— Cóż, jesteś pan zadowolony? Przebaczyłem moim nieprzyjaciołom...

— Jesteś pan zbyt dobrym — z ironią odrzekł don Gennaro.

— Nie chcę przyznawać sobie zasługi. Nie miałem zamiaru skarżyć ich.

— Tak? Dlaczego?

— Nie wypadało.

— Rozumiem. Więc po co jeździliśmy do komisarza?

— Należało złożyć deklaracyę, gdyż policya poszukiwała mnie.

— Więc żona pańska jest tak naiwną?

— Żona moja? Żona mnie tak kocha, że drży o moje bezpieczeństwo i radzi mi porzucić ten fach.

— Jakiż ona ma fach?

— To pan nie wiesz? Ona jest tą słynną wróżbiarką z Centograde, Chiara Stella.

— Ach!... przypominam sobie, przypominam. Czary jej zapewne tyle warte co pańskie numery.

— Jej czary skuteczne — z przekonaniem odrzekł Pasqualino.

— A wierzy w pańskie obcowanie z duchami?

— Wierzy. Ona bardzo mnie kocha.

— Jako człowieka? Dziwna z was para. W każdym razie, ocaliłeś pan tych ośmiu łotrów.

— Co pan mówi o ocaleniu! Słyszał pan rady, jakich udzieliłem każdemu z nich?

— Nie — odrzekł don Gennaro, zdziwiony przewrotnością Pasqualina.

— Zostawiłem im pamiątkę.

— I sądzisz pan, że usłuchają rad pańskich?

— Napewno usłuchają — odrzekł assistito.

Pożegnał lichwiarza i oddalił się ku placowi Municipio. Parascandalo rozstawszy się z nim, po raz pierwszy w życiu uczuł wstręt do obmyślanej na zimno złośliwości.

XVII.

W małej oberży ojca Babbasone, położonej przy drodze wiodącej z Moiariello de Capodimonte do Ponti Rossi, nie było tego poranka zimowego nikogo z gości. Oberża, podobna z powierzchowności do skromnego domu kolonisty, składała się z parteru, w którym znajdowała się kuchnia zadymiona i sala ze stołami gościnnemi, oraz piętra, na które jak zwykle we Włoszech południowych, wchodziło się po schodach przystawionych do zewnętrznej ściany domu. W jednym z pokojów górnych mieszkał właściciel oberży z rodziną, w drugim mieściła się spiżarnia, z niewielkiemi zapasami kiełbas suchych i czarnych, serów cuchnących, porozwieszanych na ścianach wianków czosnku i cebuli, oraz owoców. Na dole przed oberżą wznosiły się trzy altany, pokryte podczas wiosny i lata liśćmi zielonemi, lecz teraz stały ogołocone z nich, odkrywając swój szkielet drewniany. Schody wewnętrzne łączyły parter z pierwszem piętrem, drzwi w tylnej ścianie oberży prowadziły na pola.

Z okien pierwszego piętra widać było przedmieścia Neapolu, położone przy via Reclusoria, stacyę kolei żelaznej i pagórek cmentarny. Do oberży prowadziły dwie drogi: jedna od Moiariello, druga od strony Ponti Rossi; wiodła jeszcze trzecia przez pola, lecz ta była nieuczęszczaną.

Chociaż cała okolica w pobliżu oberży była pustą, oczekiwano w niej przecież gości, gdyż krzątająca się w kuchni służąca zajęta była przyrządzaniem kotletów wieprzowych. Na kominie stał oczekujący na makaron kociołek z wodą wrzącą. Przed drzwiami oberżysta, wieśniak o nosie spiczastym i ostrej brodzie, przemywał w misce koper i sałatę. Żona jego była nieobecną, gdyż mąż wysłał ją na targ po ryby świeże i produkty inne. W sali syn oberżysty tarł na tarce ser Cortone smaku bardzo ostrego, podobny do wapna i palący w gardle, lecz ulubiony przez lud neapolitański. Nadchodziło południe. Gospodarz odrywał się niekiedy od roboty i spoglądał na drogę wiodącą od Ponti Rossi, jak gdyby wypatrywał kogoś i znowu maczał w wodzie główki sałaty.

W tem niespodziewanie zjawiła się obok niego jakaś postać kobieca. Odwrócił się ku niej i spostrzegł dziewczynę najwyżej dwudziestoletnią, lecz tak wynędzniałą z pracy niedostatku i cierpień, że wydawała się o dziesięć lat starszą. Tylko jej wielkie oczy czarne świeciły się na wychudzonej twarzy. Była to Carmela, nieszczęśliwa siostra Annarelli i Magdaleny, wzgardzona narzeczona Rafaela, zwanego Farfariello. Przybyła pieszo, ubrana była ubogo, w wypłowiałą sukienkę perkalową i podarty szal na ramionach.

— Dzień dobry, ojcze — przywitała oberżystę.

— Dzień dobry, moja córko — odrzekł, spoglądając na nią podejrzliwie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Drukarnia narodowa Stanisław Maniecki i Spółka — Lwów, ul. Kopernika l. 9.